NR 42 (1915) 21 PAŹDZIERNIKA 2025

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Powrót PRYWATYZACJI

- CZY JEST MIEJSCE NA CZWARTĄ DROGĘ?
- WITAJCIE W DEADNECIE

ISSN 0208-8045
9 770208 040450 42
INDEKS 379433
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Proj. A.Ch.

TYSOL.PL

Pierwsza taka opowieść o życiu i prezydenturze

Wydanie specjalne książki Andrzeja Dudy

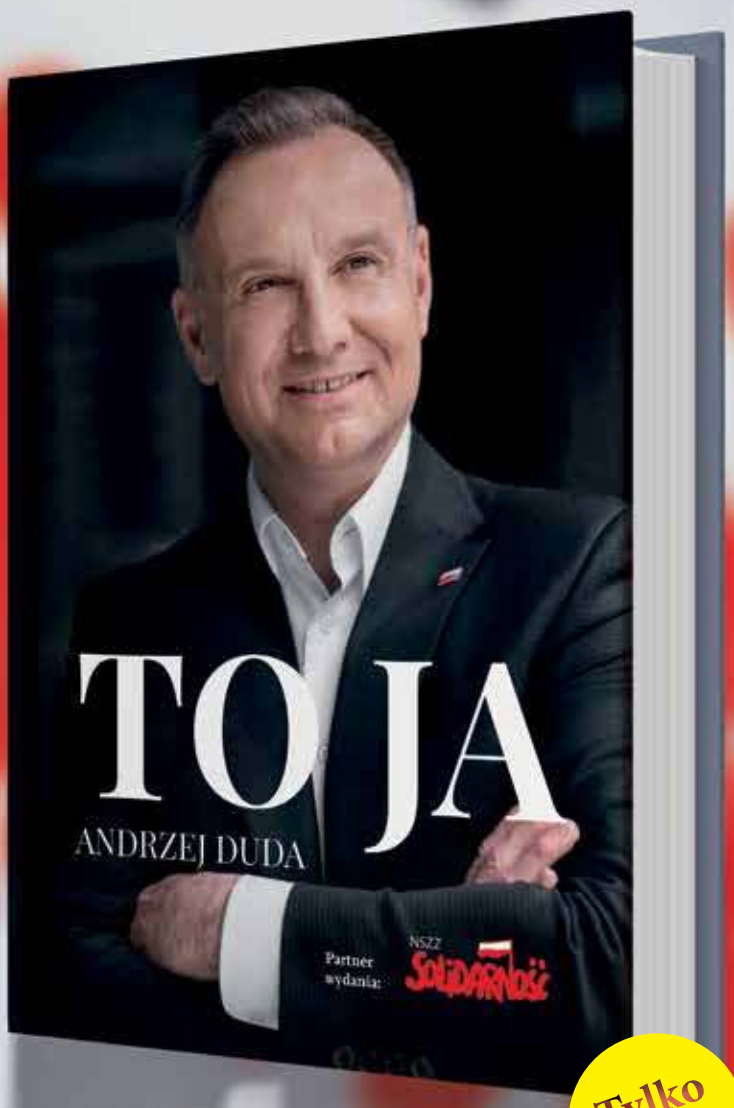

- Edycja specjalna przeznaczona dla członków i sympatyków NSZZ „Solidarność".
- Ekskluzywna publikacja:
  - twarda, lakierowana oprawa,
  - ponad 250 kolorowych ilustracji,
  - 672 strony.
- Dodatkowy rozdział o Solidarności dostępny wyłącznie w tym wydaniu.
- Fotografie związane z Solidarnością.
- Słowo wstępne przewodniczącego Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność" Piotra Dudy.

Tylko u nas:

solidarnosc.sklep.pl

eprasa.pl ec52629d92

Michał Ossowski
REDAKTOR NACZELNY

Protestujemy, bo Zarząd wypowiedział wojnę pracownikom – powiedział nam Krzysztof Gonerski z Solidarności w Enei. Tak właśnie pracownicy często postrzegają obecne działania Zarządów poszczególnych spółek Skarbu Państwa.

Od miesięcy w wielu z nich pod oficjalnymi deklaracjami o „profesjonalizacji" i „odpolitycznieniu" kryje się brutalna, antypracownicza polityka, której sami zatrudnieni stawiają opór. Czy można już powiedzieć, że to celowa destabilizacja, która zagraża zarówno miejscom pracy, jak i strategicznemu bezpieczeństwu państwa?

Na pewno niepokój pracowników spółek jest głęboko uzasadniony. Wypowiadanie układów zbiorowych pracy, kolejne zapowiedzi zwolnień grupowych czy odwoływanie z rad nadzorczych przedstawicieli pracowników to działania, które sprawiają, że pracownicy czują się lekceważeni i spychani na margines. Nie ma to nic wspólnego z dialogiem społecznym, o który w trudnych momentach szczególnie należałoby zadbać.

Czy państwo, którego bezpieczeństwo opiera się na spółkach zarządzanych przez chaos, jest chronione w sposób właściwy?

Ten brak wizji i dialogu rodzi jednak także katastrofalne skutki dla spółek o znaczeniu strategicznym. Przedstawiciele Solidarności w Poczcie Polskiej wprost biją na alarm: „To, co robi Zarząd Poczty Polskiej, nie ma nic wspólnego z naprawą czy rozwojem – to sabotaż, który krok po kroku degraduje naszą firmę!". Podobne sygnały płyną z innych spółek.

Ale można zapytać jeszcze o coś innego. Czy państwo, którego bezpieczeństwo opiera się na spółkach zarządzanych przez chaos, jest chronione w sposób właściwy? W sytuacji, gdy jego kluczowe sektory – poczta, kolej, energetyka – są w nieustannym stanie restrukturyzacji, której efektów od miesięcy nie widać, a ich pracownicy żyją w niepewności co do dalszej pracy. Historia lat 2007–2015 uczy, że „prywatyzacja dla ludzi" szybko zamieniała się w radykalne cięcia zatrudnienia i utratę kontroli nad strategicznym majątkiem. Dziś pracownicy boją się, że destabilizacja jest przygotowaniem gruntu pod przyszłą wyprzedaż samych spółek lub przejęcie rynku przez obce firmy. I trudno uznać te obawy za nieuzasadnione.

MASZYNA DO RYSOWANIA **KARNKOWSKI**

eprasa.pl ec52629d92

21.10.2025
WYDANIE Nr
42

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

Raport o spółkach Skarbu Państwa

6	„Likwidacja, zwolnienia, wyprzedaż”. Co się dzieje w spółkach Skarbu Państwa
10	Zarząd wypowiedział wojnę pracownikom GK Enea. Rozmowa z K. Gonerskim
14	ETS-y to przemoc ekonomiczna
18	Polska antytranzytowa
22	Chaos i czekanie na cyfrowego zbawcę

KRAJ

Na ratunek Platformie 26
Rada Dialogu Społecznego w Pałacu Prezydenckim 29
Dziejowa misja patointeligencji 30
Minister Żurek i Stowarzyszenie Pieniaczy Polskich 33

STREFA KONTAKTU IGORA ZALEWSKIEGO 36

GOSPODARKA

ZEKS jest sexy 40
Nowa moda na samozbiory 44

ZAGRANICA

Rekordy i regresy V Republiki 48
Czy Mike Judge jest prorokiem? 52

SPOŁECZEŃSTWO

Witajcie w martwym internecie 56
Downcycling – druga twarz recyklingu 60
XI edycja „Olimpiady Solidarności. Dwie dekady historii” 63

KULTURA

W muzyce jestem kameleonem. Rozmowa z G. Blachą 64
Rewolucja nie ma końca. Recenzja filmu „Jedna bitwa po drugiej” 68

ZWIĄZEK

Co w związku 70

FELIETONY:

WOŚ 5
OKRASKA 9
GAC 13
MAŁKOWSKA 43
SKWIECIŃSKI 51

POLECAMY:

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 17
KARUZELA Z BLOGERAMI 25
Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 47
PRAWO 72

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Wojciech Kwidziński

Członek Zarządu: Michał Ossowski

Redaktor naczelny: Michał Ossowski
m.ossowski@tygodniksolidarnosc.com

Zastępcy redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa, Rafał Woś

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Krzysztof Karnkowski, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Ludwik Pęzioł, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Andrzej Berezowski, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Kacper Kita, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Jakub Szmit, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki, tel. 510 075 689, e-mail: k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności, ul. ks. Jerzego Popiełuszki 6, 80-864 Gdańsk
nr konta: SKOK im. Franciszka Stefczyka
52 7065 0002 0651 8267 6304 0001

Telefon: 58 337 60 44

eprasa.pl ec52629d92

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Rafał Woś

Czy Tusk się zresocjalizował?

Każdej władzy trzeba pilnować. A liberałów u władzy w szczególności. Zwłaszcza kiedy wpada w ich ręce gospodarka.

Anglosasi mają takie powiedzenie, że najlepszym sposobem na przewidywanie przyszłego zachowania jest zachowanie przeszłe. A gdy idzie o gospodarkę narodową, to dorobek polskich liberałów nie jest – delikatnie mówiąc – najlepszy. Zamiast inwestować w przedsiębiorstwa z udziałem Skarbu Państwa, zwykle woleli się ich pozbywać. Z zastanawiającą łatwością oddawali najbardziej zyskowne elementy gospodarki (handel detaliczny, bankowość, telekomunikacja, energetyka) w ręce zewnętrznych inwestorów. Nie wspierali spółek o znaczeniu strategicznym, gdy te zmagały się z koniecznością transformacji, a potem bezradnie rozkładali ręce, twierdząc, że nie powinno się dotować „trwale nierentownych" przedsięwzięć.

Po roku 2023 premier Donald Tusk wielokrotnie powtarzał, że starego liberalnego Tuska już nie ma. Ten nowy Tusk rzuca co jakiś czas na przykład hasło: „repolonizacji gospodarki". Problem w tym, że każdy, kto śledzi polską politykę trochę dłużej, pamięta oczywiście, że to ten sam polityk, którego koalicja na przestrzeni lat przeprowadziła prawie 1000 prywatyzacji spółek Skarbu Państwa. Głównie z branży chemicznej, energetycznej i transportowej.

Oczywiście, że dziś mamy rok 2025, a nie 2008 czy 2011. Inny jest dziś klimat wokół postulatu prywatyzacji. A argumenty tych wszystkich, którzy pokazywali, że wyzbywanie się przez państwa własności (choćby częściowej) nad podmiotami gospodarczymi, to odbieranie temu państwu narzędzi do prowadzenia skutecznej polityki ekonomicznej. Na przykład na wypadek kryzysu finansowego czy energetycznego. Albo wręcz zagrożenia wojennego. W takich warunkach jest bardzo wątpliwe, że oto rząd Tuska przystąpi ochoczo i z otwartą przyłbicą do przekonywania opinii publicznej do koncepcji sprzedaży udziałów Skarbu Państwa w Orlenie albo KGHM-ie.

Nie, to się oczywiście nie wydarzy. Ale może się zdarzyć coś innego. Może być tak, że ten rząd nie będzie się potrafił wykazać odpowiednią inicjatywą do tego, by ochronić spółki Skarbu przed rynkowymi zagrożeniami. Albo nie będzie potrafił dostrzec drzemiącego w nich potencjału i zapewnić im odpowiednich inwestycji, bez których taka spółka nigdy nie rozwinie skrzydeł. To jest właśnie realne zagrożenie związane z liberalnym nachyleniem obecnej władzy. Oczywiście Tusk i inni mogą nas przekonywać, że przeszli udaną resocjalizację w kierunku odliberalnienia podejścia do gospodarki. I bardzo dobrze. Większa będzie radość w niebie z jednego nawróconego niż z 99 sprawiedliwych.

Kto chce, niech sobie Tuskowi wierzy na słowo. Polecam jednak starą, dobrą zasadę przypisywaną sami wiecie, komu. Otóż zaufanie jest dobre. Ale kontrola jest jeszcze lepsza.

eprasa.pl ec52629d92

Temat Tygodnia

CO SIĘ DZIEJE W SPÓŁKACH SKARBU PAŃSTWA

„Likwidacja, zwolnienia, wyprzedaż”

eprasa.pl ec52629d92

Donald Tusk deklaruje, że rząd „**robi, a nie gada**”, i rzeczywiście w sprawie spółek Skarbu Państwa robi dużo. Tyle że te działania, zdaniem strony społecznej, często samym spółkom, państwu polskiemu i pracownikom szkodzą.

Protest kolejarzy; Warszawa, 15 października br.

Fot. T. Gutry

Barbara Michałowska

Obecnie nie istnieją żadne plany prywatyzacji państwowych spółek – mówił w grudniu ubiegłego roku w wywiadzie dla serwisu „Business Insider Polska” były minister aktywów państwowych Jakub Jaworowski. Takie deklaracje padały ze strony przedstawicieli rządu już kilkukrotnie, nie uspokoiły jednak pracowników państwowych spółek i ich obaw dotyczących przyszłości swoich pracodawców.

Strategii nie ma

„Dziś stajemy przed brutalną prawdą – Poczta Polska jest systematycznie niszczona przez decyzje, które są nie tylko błędne, ale wręcz szkodliwe dla polskiej gospodarki i bezpieczeństwa państwa! To, co robi Zarząd Poczty Polskiej, nie ma nic wspólnego z naprawą czy rozwojem – to sabotaż, który krok po kroku degraduje naszą firmę!” – alarmowali w lutym przedstawiciele Solidarności i innych związków zawodowych działających w Poczcie Polskiej.

„Środki przeznaczone na likwidację Dolnej Odry, które będą wieloletnim obciążeniem dla budżetu państwa, mogłyby zostać wykorzystane na inwestycję w konwersję bloków węglowych na biomasę, co miałoby istotny wpływ na poprawę wyników ekonomicznych Elektrowni. Koszty konwersji to około 200 mln zł, a likwidacji ponad miliard. Podobne konwersje przeprowadzono w Elektrowni Połaniec i Ostrołęka, z którymi bloki wygrały aukcje w Rynku Mocy” – wskazują z kolei związkowcy z tej elektrowni w piśmie do pełnomocnika rządu ds. strategicznej infrastruktury krytycznej. W ich opinii decyzja o wygaszeniu Elektrowni opiera się na niepełnych i tendencyjne dobranych danych.

O systemowym niszczeniu mówią przedstawiciele Solidarności w PKP Cargo, a ostatnio przeciwko działaniom rządu protestują również pracownicy PKP PLK.

O chaosie w zarządzaniu spółkami, których właścicielem jest państwo, mówią także inni. Dariusz Seliga, który od 13 kwietnia 2022 r. do 1 lutego 2024 r. pełnił funkcję prezesa PKP Cargo, w marcu tego roku wystosował list otwarty dotyczący dramatycznej sytuacji spółki. Napisał w nim m.in.: „Patrząc, zaledwie po niecałym roku od mojego odejścia ze spółki, na wyniki finansowe czy brak strategii wyjścia z kryzysu, do jakiego doprowadziły działania nowej władzy PKP CARGO, oraz brak jakiegokolwiek planu ratowania przewoźnika, poza likwidacją, zwolnieniami, rozsprzedaniem, rysuje się obraz przerażający. Mamy do czynienia ze stanem postępującego upadku największego polskiego operatora przewozów kolejowych”.

„Prywatyzacja dla ludzi”

Okres pierwszych rządów Donalda Tuska (2007–2015) był jednym z najbardziej dynamicznych w historii prywatyzacji po 1989 roku, prowadził do sprzedaży, jak podają dostępne źródła, ponad 400 aktywów za blisko

eprasa.pl ec52629d92

60 miliardów złotych. Choć zwolennicy tej polityki wskazywali na pozyskanie środków na inwestycje infrastrukturalne i redukcję deficytu, dla strony społecznej była to bolesna „utrata narodowego majątku". Spółki takie jak Lotos, Energa, Ciech czy PKO BP zostały częściowo sprywatyzowane, co osłabiło kontrolę państwa nad strategicznymi sektorami, zwłaszcza energetyką i finansami. Premier Tusk podkreślał wówczas „znaczenie prywatnego kapitału w rozwoju gospodarczym" i potrzebę „odpolitycznienia" firm, co w praktyce oznaczało przygotowanie ich do wejścia na giełdę lub sprzedaży, nierzadko z pominięciem interesów pracowników. Przy tym w wypowiedziach publicznych mówił m. in.: „Prywatyzacja nie przyniesie efektów, jeśli napotka na mur nieufności" oraz „Ma to być prywatyzacja dla ludzi. Ma zapewnić wzrost zatrudnienia, a dochody z niej mają służyć Polakom".

Niestety, stało się wręcz odwrotnie. Radykalne cięcia zatrudnienia sprawiły, że sytuacja wielu polskich rodzin, a nawet całych regionów Polski, drastycznie się pogorszyła. Solidarność od początku krytykowała te działania i broniła pracowników, którzy często z dnia na dzień znaleźli się bez pracy. Krytykowała rząd za to, że bardziej interesują go krótkoterminowe zyski finansowe, które nie rekompensują długofalowych strat związanych z utratą suwerenności gospodarczej.

Chaos

Być może dlatego, często obecnym „restrukturyzacjom" czy „planom naprawczym" towarzyszy usuwanie z Rad Nadzorczych przedstawicieli pracowników. Tak zadziało się ostatnio choćby w Enei. Wypowiadanie Układów Zbiorowych Pracy (m.in. w Poczcie Polskiej, PKP Cargo czy w ostatnim czasie w Enei) sprawia, że pracownicy, często związani z firmą od dziesięcioleci, doświadczają dużej niepewności. Niektórzy zaś, jak pracownicy likwidowanych bloków węglowych w Elektrowni Dolna Odra, już wiedzą, że zmiany oznaczają dla nich utratę zatrudnienia.

Obecnie nie tylko przedstawiciele pracowników, ale również eksperci mówią o tym, że sytuacja w spółkach Skarbu Państwa charakteryzuje się chaosem, brakiem ciągłości i utratą poczucia stabilności. Szerokie audyty i wzmożona rotacja kadr kierowniczych destabilizują funkcjonowanie przedsiębiorstw. Z perspektywy pracowników szybkie zmiany personalne w zarządach oznaczają często zawieszanie projektów, wstrzymywanie inwestycji i nieustanną niepewność co do kierunku rozwoju. Takie obawy wyrażali w ostatnich miesiącach m.in. pracownicy Grupy Azoty. Związki zawodowe alarmują, że decyzje często wynikają z bieżących potrzeb politycznych, a nie „długofalowych planów ekonomicznych", co podważa zaufanie pracowników do zarządów spółek.

Zwalniani będą sprzedawać gofry?

Tym, co najbardziej irytuje pracowników, jest ich lekceważenie. Piotr Duda nieraz w publicznych wystąpieniach podkreślał, że na posiedzeniach Rady Dialogu Społecznego, które podejmowały temat spółek, nie pojawiali się ministrowie, a jeśli nawet byli obecni, nie podejmowali realnej dyskusji na temat palących dla pracowników spraw.

W bezpośrednich kontaktach pracowników z przedstawicielami spółek uderza ich, jak mówią, cynizm towarzyszący restrukturyzacjom i utrata wpływu strony społecznej na procesy decyzyjne. Mówią, że ich realny głos często nie jest brany pod uwagę, a decyzje ich dotyczące podejmowane są bez wcześniejszych rozmów z załogami.

Wyrazem skrajnej pogardy dla pracowników jest cytowana przez związkowców Agnieszce Żurek wypowiedź przedstawiciela zarządu Elektrowni Dolna Odra, który w obliczu masowych zwolnień miał stwierdzić, że zwalniani pracownicy mogą jechać nad morze i „sprzedawać gofry albo kukurydzę". Ze strony pracowników i przedstawicieli związków zawodowych pojawiają się głosy mówiące wprost: „Oni chcą nas zniszczyć".

Nie od dziś władza traktuje spółki Skarbu Państwa jak swój prywatny folwark. Nie od dziś jest to pole do eksperymentów i miejsce umieszczania „swoich". Obecnie jednak zamiast dążyć do normalności, skala niepokojących zjawisk się pogłębia. Przedstawiciele strony społecznej zaś podkreślają, że sposób zarządzania, podszyty brakiem realnego dialogu i strategii, budzi wśród załóg spółek uzasadnione obawy, że scenariusz z lat 2007–2015 może się powtórzyć.

SYTUACJA W SPÓŁKACH SKARBU PAŃSTWA CHARAKTERYZUJE SIĘ CHAOSEM, BRAKIEM CIĄGŁOŚCI I UTRATĄ POCZUCIA STABILNOŚCI.

eprasa.pl ec52629d92

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Remigiusz Okraska

Sąsiedzi pogonili liberałów

U większego z naszych południowych sąsiadów odbyły się niedawno wybory parlamentarne. Porażkę ponieśli w nich liberałowie rządzący przez ostatnie cztery lata. Zatriumfowali populiści.

Partia ANO uzyskała 34,5% głosów. W kwestii koalicji dogaduje się z dwoma mniejszymi ugrupowaniami – antyimigrancką SPD oraz nowym podmiotem o nazwie Kierowcy, eurosceptycznym i przeciwnym unijnej polityce ekologicznej. Liberałowie razem wzięci nie mają szans na parlamentarną większość.

Z polskiego punktu widzenia to niedobra wiadomość. Lider populistów Andrej Babiš jest znany z antypolskich wypowiedzi. Gdy rządził poprzednio, to rozpętał aferę o Turów. Ale taki wynik wyborów jest całkowicie zrozumiały z perspektywy Czechów, szczególnie zwykłych ludzi i pracowników.

W polskich mediach z okazji triumfu ANO dominują te same puste słowa, co zawsze. „Populizm", „prorosyjskość", „fake newsy", „demagogia", „zacofanie", „straszenie imigrantami", „skrajna prawica", „antyeuropejskość". I tak dalej, jak katarynka. Sztuczna inteligencja zrobiłaby lepsze analizy niż liberalni dziennikarze.

Tak, ludzie mają dość „otwierania granic". Mają dość „ekologii" robionej kosztem uboższych. Mają dość ciągłych pouczeń, że są ciemni, nietolerancyjni i że nie dorośli do tego czy tamtego.

Ale przede wszystkim mieli dość poczynań liberałów, które uderzały w poziom życia i prawa zwykłych ludzi.

Co zrobili czescy liberałowie w czasie swoich rządów? Z polskich „wolnych mediów" raczej nie dowiecie się o tym. Wiek emerytalny podnieśli z 64 do 68 lat. W dodatku emerytury będą niższe, bo pogorszono zasady ich przeliczania i waloryzowania.

Liberałowie zliberalizowali również Kodeks pracy. Krótszy jest okres wypowiedzenia. Okres próbny, czyli niestabilną umowę dla nowych pracowników (umożliwia zwolnienie z pracy z dnia na dzień), wydłużyli z 3 do 4 miesięcy. Pogorszyli zasady ustalania harmonogramu pracy, organizacji pracy na różnych stanowiskach, pracy zdalnej itp. Całkowicie zlekceważyli przy tym protesty związków zawodowych.

Zlikwidowali też kasy kolejowe w kilkudziesięciu mniejszych miejscowościach. Zamknęli 300 placówek pocztowych (głównie na prowincji) oraz zwolnili z publicznej poczty 2300 osób.

A ponadkrajowa pandemiczna inflacja i duży wzrost cen energii w związku z wojną rozpętaną przez Putina? Czescy liberałowie nie wdrożyli żadnych poważnych działań osłonowych. Płace, w tym pensje minimalne, rosły tak wolno, że wobec inflacji setki tysięcy ludzi zubożały.

Bezrobocie, choć niskie, zaczęło rosnąć. Przemysł ciężki jest likwidowany w imię pseudoekologii i z powodu wysokich cen energii. Ostatnia w kraju kopalnia węgla kamiennego właśnie jest zamykana. W Stonawie, gdzie to się dzieje, populiści z ANO dostali aż 58% głosów.

eprasa.pl ec52629d92

Zarząd wypowiedział wojnę pracownikom GK Enea

– Wszystkich dziennikarzy interesuje, kiedy wyłączymy prąd, a nikogo nie interesuje, dlaczego będziemy strajkować. Protestujemy, bo Zarząd wypowiedział wojnę pracownikom. Zrobił to w tak bardzo napiętej sytuacji geopolitycznej Polski. Jeżeli dojdzie do akcji strajkowej, będzie to wyłącznie wina Zarządu Enea S.A. – mówi **Krzysztof Gonerski** w rozmowie z **Marcinem Krzeszowcem**.

Fot. M. Żegliński

eprasa.pl ec52629d92

– Wypowiedzenie przez Zarząd kluczowego porozumienia, jakim jest Zakładowy Układ Zbiorowy Pracy w Enei, a na dodatek odwołanie przedstawicieli pracowników z Zarządów i Rad Nadzorczych spółek GK Enea – z pewnością nie tak wyobrażali sobie Państwo dialog społeczny z władzami firmy. Jak do tego doszło?

– Wszystko wydarzyło się na kwartalnym spotkaniu z pracodawcą. Czekaliśmy dwie godziny, aż zjawi się ktoś z członków Zarządu. W końcu przyjechała do nas pani wiceprezes ds. korporacyjnych w Enea S.A. Dalida Gepfert zmieniła wcześniej uzgodniony program zebrania i wypaliła od razu z grubej rury, że z dniem 18 września Enea S.A. odstępuje od stosowania Ponadzakładowego Układu Zbiorowego Pracy i wypowiada nam Zakładowy Układ Zbiorowy Pracy. Dała nam czas na zawarcie nowego ZUZP do końca roku i przesłała nową wersję układu sporządzoną przez pracodawcę. Dodatkowo poinformowała nas o odwołaniu członków Zarządów wybranych przez pracowników w Enea Operatorze i Enea Serwis oraz o odwołaniu wszystkich Rad Nadzorczych w GK ENEA. Zarząd pozostawił jedynie Radę Nadzorczą w największej spółce, czyli Enei Operatorze, ale i tam dwóch naszych przedstawicieli zostało odwołanych. Przyczyn odwołania przedstawicieli pracowników nie podano. Podkreśliliśmy, że takie działania łamią dialog społeczny oraz wcześniej zawarte umowy i porozumienia. Pani Dalida w ogóle nie wzięła tego pod uwagę i wyrzuciła to wszystko do śmietnika.

Po około półtorej godziny, gdy zaczęliśmy negocjacje płacowe, pani Dalida stwierdziła, że musi jechać na stadion Enei do Poznania i zostaliśmy w pomieszczeniu z osobami, które nie miały żadnych kompetencji, by podejmować decyzje. Wszyscy byliśmy w szoku, jak można tak traktować przedstawicieli załogi. Byliśmy kompletnie zaskoczeni tym, co zrobił Zarząd.

– Układami Zbiorowymi Pracy objętych jest ponad 90 proc. pracowników – to prawie 16,5 tysięcy zatrudnionych w GK Enea. Kiedy upłynie termin wypowiedzenia ZUZP i co się wtedy stanie?

– U nas układ był zawarty bezterminowo, czyli do czasu wynegocjowania nowego Układu Zbiorowego Pracy. Pracodawca poinformował nas, że nie zamierza respektować przepisów układowych. Zarząd nie przeprowadził wcześniej z nami żadnych rozmów w sprawie wypowiedzenia układu. To jest taki szantaż: jeżeli się z nami nie dogadacie do końca roku, to będzie obowiązywał w firmie tylko Kodeks pracy. Jedyne, co udało się temu Zarządowi, to zjednoczyć wszystkie związki zawodowe w GK Enea. Powołaliśmy wspólnie Komitet Protestacyjno-Strajkowy i działamy według ustalonego wspólnie harmonogramu.

– Wspomniał Pan, że przedstawiono Wam propozycję nowego ZUZP.

– Tak, ona składa się z dziewięciu stron, przy czym nasz dotychczasowy Układ liczy ponad sto! Mamy w nim zagwarantowane takie świadczenia jak: dodatek za pracę w warunkach uciążliwych, premię roczną, Pracowniczy Program Emerytalny, regulamin świadczeń socjalnych, posiłki profilaktyczne, nagrodę jubileuszową, dodatek stażowy, nagrodę i dzień wolny z okazji dnia energetyka, taryfę pracowniczą, odprawę emerytalną, świadczenia sanatoryjne, zasady współpracy partnerów społecznych...

Te zarzuty, że nasz Układ jest przestarzały i że to jakiś archaizm sprzed 20 lat, to absolutnie nieprawda! Enea powstała w 2003 roku z połączenia pięciu zakładów energetycznych z Gorzowa, Szczecina, Bydgoszczy, Zielonej Góry i Poznania. Później dołączyły elektrownia Kozienice, kopalnia „Bogdanka", elektrownia „Połaniec", elektrociepłownia „Białystok" i w końcu doszliśmy do tego, co mamy dzisiaj, że Enea zatrudnia aż 18 tysięcy pracowników. W tym czasie nasz Układ Zbiorowy Pracy był wielokrotnie modyfikowany i aktualizowany.

To paranoja i chichot historii, że pani minister rodziny, pracy i polityki społecznej Agnieszka Dziemianowicz-Bąk pisze do ministra aktywów państwowych Wojciecha Balczuna, że jest zaniepokojona decyzjami podjętymi przez Zarząd Enei, a w międzyczasie w Sejmie procedowany jest projekt ustawy, który ma ułatwić zawieranie i rejestrowanie układów zbiorowych pracy. W naszym kraju zaledwie 13 proc. pracowników jest nimi objętych, a w niektórych państwach UE ten wskaźnik sięga 80 proc.

ZARZĄD NIE PRZEPROWADZIŁ WCZEŚNIEJ Z NAMI ŻADNYCH ROZMÓW W SPRAWIE WYPOWIEDZENIA UKŁADU.

U nas nie dość, że mamy jeden z najniższych wskaźników, to idzie się wręcz w odwrotnym kierunku i w dużej firmie zatrudniającej 18 tysięcy osób wypowiada się obydwa

eprasa.pl ec52629d92

układy: zakładowy i ponadzakładowy układ zbiorowy pracy.

Przypomnę, że w listopadzie 2024 roku upłynął termin implementacji unijnej dyrektywy, która ma promować układy zbiorowe, i jakoś nie widzę, żeby Unia nakładała na nas jakieś kary za niedotrzymanie terminu, tak jak było to w przypadku kopalni Turów.

Co z tego, że pani minister wysłała pismo, że nie zgadza się z taką polityką? Nie można osiąść na laurach i powiedzieć, że nic więcej nie można zrobić. Lewica rządzi przecież w koalicji. Chodzi o to, żeby wyegzekwować na swoim koledze, panu ministrze, zmianę decyzji podjętych przez Zarząd Enei.

– Gdyby mógł Pan porównać dzisiejszą sytuację w Enei z tym, co działo się w niej 5, 10 czy 15 lat temu, to jest to pierwszy tak poważny kryzys w firmie? Mówicie wręcz, że Zarząd wypowiedział pracownikom „wojnę".

– Nigdy nikt nie podniósł ręki na źródła prawa pracy, jakimi są w Enei porozumienie z Sierakowa, Zakładowy Układ Zbiorowy Pracy i Ponadzakładowy Układ Zbiorowy Pracy. Jeśli stronom coś się nie podobało, jeśli były różnice interpretacyjne, to uściślaliśmy to poprzez protokoły dodatkowe. Zawarliśmy ich łącznie chyba z trzydzieści. Nikt nigdy nie odważył się nawet wspomnieć o tym, że wypowie Układ Zbiorowy Pracy. Każdy Zarząd, niezależnie od opcji politycznej, kontynuował politykę poprzedników.

– A czy w ostatnim czasie dochodziły do Was sygnały o planowanej restrukturyzacji w Enei? Bo domyślam się, że gdy nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze, a więc o oszczędności.

– To jest najdziwniejsze, bo ja nie widzę żadnego uzasadnienia dla takich decyzji Zarządu. W pierwszym półroczu 2025 roku Grupa Kapitałowa Enea wypracowała ponad 2 mld zł zysku, więc nie ma mowy o szukaniu oszczędności. Pani Dalida powiedziała, że odwołanie przedstawicieli pracowników z Zarządów i Rad Nadzorczych to „profesjonalizacja zarządzania". Ja ukończyłem studia z zarządzania małymi i średnimi przedsiębiorstwami i mogę powiedzieć, że to kompletna bzdura. Każdy menedżer to przyzna, że jeśli pracownicy mają swoją reprezentację, jeśli są świadomi wizji i celów spółki i mają udział w jej zarządzaniu, to taka firma osiąga lepsze wyniki. Dla mnie to jest zaklinanie rzeczywistości.

– Do tej pory związki zawodowe ogłosiły pogotowie strajkowe i rozpoczęły strajk włoski. Odbyły się też dwa protesty – jeden w Poznaniu, drugi w stolicy. Co dalej?

– Jesteśmy teraz na etapie sporu zbiorowego i przestrzegamy zapisów ustawy. Najpierw są rokowania. Dołączyliśmy do nich żądania płacowe, bo w tym roku dostaliśmy tylko 5 proc. podwyżki, z czego 2 proc. obligatoryjnej, a więc niektórzy pracownicy otrzymali mniej, niż wynosi inflacja.

Ogólnie widać, że wszyscy z branży energetycznej i nie tylko są wzburzeni sytuacją w Enei. Dlatego na spotkaniu w Gdańsku władze Krajowej Sekcji Energetyki NSZZ „Solidarność" i Krajowej Sekcji Elektrowni i Elektrociepłowni NSZZ „Solidarność" ogłosiły pogotowie strajkowe na terenie całego kraju, bo związkowcy wiedzą, że jeżeli uda się wypowiedzieć Układ Zbiorowy Pracy w Enei, to rozleje się to na cały kraj i inne grupy energetyczne, takie jak Tauron, Energa i Polska Grupa Energetyczna.

Zgodnie z ustawą na końcu będzie strajk. Wszystkich dziennikarzy interesuje, kiedy wyłączymy prąd, a nikogo nie interesuje, dlaczego będziemy strajkować. Protestujemy, bo Zarząd wypowiedział wojnę pracownikom. Zrobił to w tak bardzo napiętej sytuacji geopolitycznej Polski. Jeżeli dojdzie do akcji strajkowej, będzie to wyłącznie wina Zarządu Enea S.A.

Są jeszcze inne formy wywierania nacisku, są Wojewódzkie Rady Dialogu Społecznego. Mamy kilka niekonwencjonalnych pomysłów akcji protestacyjnej, ale ze zrozumiałych względów ich teraz nie ujawnię. Liczymy bardzo, że pikieta przed naszym właścicielem, czyli Ministerstwem Aktywów Państwowych, przyniesie efekty w postaci wycofania się Zarządu z łamiących prawo decyzji i nie trzeba się będzie martwić akcją strajkową w sektorze energetycznym.

JEŻELI UDA SIĘ WYPOWIEDZIEĆ UKŁAD ZBIOROWY PRACY W ENEI, TO ROZLEJE SIĘ TO NA CAŁY KRAJ I INNE GRUPY ENERGETYCZNE TAKIE JAK TAURON, ENERGA I POLSKA GRUPA ENERGETYCZNA.

Krzysztof Gonerski – zastępca przewodniczącego Organizacji Międzyzakładowej NSZZ „Solidarność" w Enei.

eprasa.pl ec52629d92

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Karol Gac

Czas destrukcji i złudzeń

W ubiegłym tygodniu minęły dwa lata od wyborów parlamentarnych. Chociaż rząd Donalda Tuska został zaprzysiężony w grudniu 2023 roku, to jednak pokuszę się o małe podsumowanie dokonań uśmiechniętej koalicji. Dokonań, które bez wątpienia są katastrofalne dla Polski i Polaków.

Wybory parlamentarne sprzed dwóch lat były na swój sposób specyficzne. Teoretycznie wygrało je PiS, ale – jak wiadomo – władzę oddać musiało. Szybko okazało się również, że Polacy w sumie to chcieli realizowania programów PiS, ale z kim innym u władzy. Napisać, że była to naiwność, to nic nie napisać.

Społeczeństwo otrzymało szybko dawkę przypominającą Donalda Tuska. Każdy, kto pamięta rządy PO – PSL z lat 2007–2015, wiedział, czym skończy się kolejny rząd pod przywództwem Tuska. I tak też się stało. Wróciła Polska niezrealizowanych obietnic wyborczych, ciętych inwestycji i rosnącego bezrobocia. Wróciła Polska fatalnego zarządzania, uległa dyktatom i braku perspektyw. W tym czasie rząd przypomina dziś znużoną trupę teatralną – wciąż grającą te same sceny, choć publiczność dawno zaczęła ziewać.

Zamiast rozliczać się z wyborczych obietnic, Donald Tusk woli próbować rozliczać przeciwników. Tyle, że i to za bardzo mu nie wychodzi. „Odbudowa praworządności” sprowadziła się do wymiany kadr i zemsty politycznej. Ministerstwa przypominają partyjne biura, w których najważniejsza jest lojalność wobec szefa, nie kompetencja. Polska znów żyje od kryzysu do kryzysu, od konferencji prasowej do konferencji prasowej, z których właściwie nic nie wynika.

Dwa lata po wyborach właściwie trudno wskazać jakiekolwiek zmiany, które faktycznie poprawiłyby życie obywateli. Można za to bez problemu wskazać wiele sporów, dymisji, niespełnionych zapowiedzi i medialnych wojenek. Tusk obiecywał koniec „wojny polsko-polskiej”, ale jego rząd żyje z konfliktu i dzięki konfliktowi. Bez niego nie miałby już żadnej energii.

Miniony czas to lata rozczarowań. Największy paradoks polega na tym, że to wyborcy Donalda Tuska czują dziś, że zostali potraktowani jak publiczność w spektaklu, który miał być dramatem o odnowie państwa, a stał się farsą o władzy dla władzy.

To jednak nie oznacza, że PiS może spać spokojnie. Wręcz odwrotnie. Ostatnie sondaże wskazują, że wyborcy – z różnych powodów – szukają alternatywy. Przez ostatnie dwa lata, pomimo demolki w wykonaniu Donalda Tuska, poparcie PiS spadło, a nie wzrosło. Urosło natomiast obu Konfederacjom, co powinno dawać do myślenia liderom PiS. Inaczej za dwa lata niektórzy mogą się zdziwić.

eprasa.pl ec52629d92

ETS-y to przemoc ekonomiczna

– Każdy prezes, któremu nawet przyszłoby do głowy zagrać po swojemu i stawiać teraz elektrownię węglową, będzie miał z tyłu głowy widmo kryminału. Można stawiać tylko wiatraki, ale też już nie do końca, ponieważ zaczynamy mierzyć się z kryzysem na rynku stali – mówi **anonimowy menedżer** [dane znane redakcji] w jednej ze spółek Skarbu Państwa z sektora paliwowo-energetycznego, w rozmowie z **Agnieszką Żurek**.

– Jednym z podstawowych zadań spółek Skarbu Państwa jest zagwarantowanie stabilności kraju w różnych obszarach. Czy na przykładzie spółki, w której Pan pracuje, może Pan stwierdzić, czy ogólna strategia zagwarantowania bezpieczeństwa energetycznego państwa jest realizowana niezależnie od tego, kto w danym momencie sprawuje rządy?

– Zaryzykowałbym stwierdzenie, że mamy obecnie do czynienia z chęcią realizacji programu PiS-u bez PiS-u. Koalicja rządząca strasznie się wstydzi nazywać określania swoich działań jako

Fot. pixabay

propaństwowe i patriotyczne, jednak nie bardzo ma inny pomysł. Kilka miesięcy temu Tusk zrobił woltę i ostatecznie uznał, że kapitał ma jednak narodowość, a o spółki Skarbu Państwa trzeba dbać.

Menedżerowie tych spółek mają trudne zadanie, ponieważ z jednej strony ciążą nad nimi krótkoterminowe oczekiwania akcjonariatu kapitałowego, czyli funduszy inwestycyjnych i banków, a z drugiej strony oczekiwania teoretycznie bardziej cierpliwego i wymagającego długofalowego planowania właściciela państwowego. Tego napięcia nie da się zniwelować bez zmiany struktury właścicielskiej, czyli bez zejścia z giełdy i ostatecznej polonizacji spółek. Na to się jednak nie zanosi, bo na to też trzeba mieć pieniądze.

Do tego dochodzi słaba jakość zarządcza – i to po obu stronach głównej osi politycznego sporu – która niestety prowadzi do konkluzji, że nie umiemy zarządzać państwowymi podmiotami, zatem należy to wszystko sprzedać, zaorać i tak dalej. A to jest ostatnia rzecz, której byśmy chcieli. W idealnym modelu, pracownicy średniego i niższego szczebla, doskonale wiedzieliby, co mają robić, i nie byłoby to zależne od zmian na stanowiskach prezesów spółek ani od jakiegoś „zewnętrznego bata", czyli np. od wytycznych polityków.

Wydaje się, że liderzy opinii publicznej w Polsce zasadniczo wiedzą, że nie można spółek Skarbu Państwa zostawić mitycznemu „wolnemu rynkowi", ale jednocześnie nie mają na nie sensownego pomysłu.

– Co jest przykrywane biciem piany na temat rozliczeń i rozgrywek personalnych.

– Kiedy Platforma szła po władzę z programem „rozliczeń", szybko przyjął on karykaturalne formy. Na przykład w Orlenie nastąpiła szybka kooptacja elit. Nowy prezes jakoś punktowo zwalniał ludzi, natomiast ci, którzy kiedyś bardzo blisko współpracowali z prezesem Danielem Obajtkiem, szybko konwertowali się do nowych oczekiwań. Podobnie działo się w Polskiej Grupie Energetycznej, w której „nowa miotła" nie powyrzucała wcale tych najbardziej „PiS-owskich" pracowników, ponieważ część z nich zaczęła mówić, że od zawsze identyfikowała się z programem Platformy.

– Spółki Skarbu Państwa powinny być nastawione przede wszystkim na zysk?

– Trudno stwierdzić, które wzorce są najlepsze, czy te spółki powinny wyłącznie zarabiać pieniądze, a politycy powinni się potem zastanawiać, jak te pieniądze dzielić i w co inwestować? Czy jednak powinny to być czebole, które odgadują i realizują misję państwa. Moglibyśmy spędzić wiele czasu, analizując, czy to dobrze, że powstał „Orlen na sterydach". PiS zostawił po sobie wiele grzechów, a jednym z nich było mocne wejście w offshore. Wszystkie farmy wiatrowe na Bałtyku są realizowane w formule wspólnych przedsięwzięć z partnerami zagranicznymi, ponieważ nasze spółki nie miały pieniędzy ani kompetencji, aby robić to samodzielnie. W efekcie powstały struktury z zaszytym klinczem decyzyjnym wynikającym z udziałów 50 na 50. To przypomina sytuację, w której mielibyśmy działkę, ale nie mielibyśmy ani pieniędzy, ani umiejętności, aby zbudować sobie na niej dom. I w efekcie podpisalibyśmy z murarzem umowę o współpracy, zgodnie z którą po wybudowaniu domu murarz zamieszkałby z nami i wspólnie z nami podejmował decyzje. Do tego dochodzi jeszcze kwestia załatwienia sobie przez te podmioty – posiadające dużą siłę lobbingową – rozmaitych lukratywnych kontraktów, za które będziemy teraz wszyscy płacić. W międzyczasie upadł bowiem mit o taniej zielonej energii z Bałtyku. Zmieniła się zatem narracja, słyszymy: „może nie będzie tanio, ale za to będziemy wspierać polskie firmy". A tymczasem z tym ostatnim także może być słabo.

Te same argumenty zaczynają pasować do kwestii budowy elektrowni jądrowej, która jeszcze kilka lat temu miała kosztować 100 mld zł, a dziś już mówi się o 192 mld zł. Zaczynamy się zatem zastanawiać, kto za to zapłaci, co ma być dalej i czemu służy ta cała transformacja. Firmy funkcjonują

ZARYZYKOWAŁBYM STWIERDZENIE, ŻE MAMY OBECNIE DO CZYNIENIA Z CHĘCIĄ REALIZACJI PROGRAMU PiS-u BEZ PiS-u.

eprasa.pl ec52629d92

w paradygmacie nieuchronnej zmiany systemowej, a przymus realizowania polityki klimatycznej bardzo przypomina tę „nieuchronność" terapii szokowej z lat 90. Ona także była przeprowadzana niezależnie od kosztów – materialnych i społecznych. I wówczas także tych, którzy próbowali się jej przeciwstawiać, nazywano „oszołomami".

KILKA MIESIĘCY TEMU TUSK ZROBIŁ WOLTĘ I OSTATECZNIE UZNAŁ, ŻE KAPITAŁ MA JEDNAK NARODOWOŚĆ, A O SPÓŁKI SKARBU PAŃSTWA TRZEBA DBAĆ.

– Co nam grozi?

– Że okaże się, że nasze elektrownie i elektrociepłownie poupadają za sprawą ETS-ów albo będą oferować tak drogi prąd, że w efekcie nie będzie u nas żadnego przemysłu i żadnych inwestycji. A na koniec Niemcy nam powiedzą, że mogą od nas to wszystko za bezcen wykupić. Albo „poratuje" nas ukraiński kapitał. To się nie stanie za kilka miesięcy, ale za kilka lat, toteż obecne zarządy spółek mogą sobie myśleć, że kto inny poniesie konsekwencje ich dzisiejszych działań.

– Może ten chaos jest celowy i właśnie chodzi o to, żeby wszystko rozwalić tak, aby potem mógł przyjść jakiś „zbawca narodu", który to uporządkuje?

– Tak zwykle bywa. Jesteśmy teraz w jakimś systemowym kryzysie. Receptą na to nie jest jednak „zaoranie" wszystkiego, ale lepsze zarządzanie i poprawianie krok po kroku tego, co mamy. Dopóki mamy swoje państwo, jest co poprawiać. Najbardziej obawiałbym się wyciągania w czasie kryzysu wniosków, że skoro źle się dzieje, to może warto się do tych Niemców czy Unii „przytulić".

– Nawet abstrahując od kwestii zarządzania korporacyjnego, musimy pamiętać, że prezesi spółek mają na sobie gorset Kodeksu spółek handlowych, który zabrania im przede wszystkim działań na szkodę spółki. I jeśli z wyliczeń Departamentu Strategii wynika, że aby tego nie robić, należy się za wszelką cenę dekarbonizować – ponieważ opłaty za emisję dwutlenku węgla, zgodnie z polityką unijną, są wysokie, to jasne jest, że będzie się tak właśnie działo. Jeśli zastosuje się tego rodzaju wyliczenia, można sprawić, żeby technologie zielone, które bez ETS-ów byłyby nierentowne, okazały się rentowne. I to się właśnie generalnie teraz dzieje. Każdy prezes, któremu nawet przyszłoby do głowy zagrać po swojemu i stawiać teraz elektrownię węglową, będzie miał z tyłu głowy widmo kryminału. Można stawiać tylko wiatraki, ale też już nie do końca, ponieważ zaczynamy mierzyć się z kryzysem na rynku stali, z wydłużonymi łańcuchami dostaw etc. Zasadniczo w Europie, a widać to najlepiej w przemyśle chemicznym, przestaje się już opłacać jakakolwiek produkcja. I jest to skutek wprowadzenia tych regulacji, o których mówiliśmy wcześniej.

OBAWIAM SIĘ, ŻE ETS-y SPRAWIĄ, ŻE NIE BĘDZIE U NAS ŻADNEGO PRZEMYSŁU ANI INWESTYCJI. A NA KONIEC NIEMCY NAM POWIEDZĄ, ŻE MOGĄ OD NAS WSZYSTKO ZA BEZCEN WYKUPIĆ.

– Minister aktywów państwowych Wojciech Balczun zapowiedział, że kluczowe wskaźniki efektywności (KPI) odegrają istotną rolę w ocenie działalności zarządów spółek Skarbu Państwa. Czy dobrze myślę, że będzie to oznaczało na przykład realizację polityki Zielonego Ładu, którą wymusza na nas ekonomiczna przemoc ze strony Unii Europejskiej?

eprasa.pl ec52629d92

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA

Z Bąkiewiczem w drodze na Grunwald

Jan Wróbel

Mam to w nosie, że „Gazeta Wyborcza" wyszydza Roberta Bąkiewicza mówiącego o Grunwaldzie i Malborku na wiecu pod dowództwem Jarosława Kaczyńskiego. Wiem, że skoro ona tak, to my, dzielna, polska prawica, odwrotnie. Trudno, lepiej czasem z głupim znaleźć, niż z mądrym zgubić. Bąkiewicz jako fetowany pisowiec to kolejny objaw degrengolady życia publicznego. Jego jedyną zasługą jest uwiarygodnianie fałszywej nuty w propagandzie Kaczyńskiego – tej, że polskie państwo nie istnieje, moralność znikła, PO to zdrajcy, a chłopcy z kijem w ręku szukający „ciapatych" na przystankach autobusowych są naszą nadzieją.

Gdzież te czasy, w których Lech Kaczyński, prezydent Rzeczypospolitej, manifestował niechęć wobec Andrzeja Leppera?

Prezydent był bardzo przejęty, kiedy jego brat tworzył koalicję (najpierw „parlamentarną", a w drugim rzucie „rządową") z takimi ludźmi jak Lepper i Roman Giertych. Pierwszy był, w jego oczach, przedstawicielem odmiany proletariatu odrzucającego autorytet polskiej inteligencji, za to gotowego robić porządki kłonicą. Drugi, wiadomo, w tamtych czasach nacjonalistyczny oszołom z katolicko-endecką chorągwią. Pierwszy prezydenta napełniał obawą, drugi litościwym, ale jednak obrzydzeniem.

Gdyby Lepper żył dzisiaj, zabiegałyby o niego wszystkie partie obrandowane etykietką „mejnstrim". Przede wszystkim Koalicja Obywatelska, tak marząca, by wyhodować swojego ludowego trybuna.

GDYBY ANDRZEJ LEPPER ŻYŁ DZISIAJ, ZABIEGAŁYBY O NIEGO WSZYSTKIE PARTIE OBRANDOWANE ETYKIETKĄ „MEJNSTRIM"?

Rzecz jasna, niedobita jeszcze „stara, dobra PO", co nieco by sarkała na barbarię, ale i to raczej po cichu. Cóż, powiedzieliby sobie jej przedstawiciele to, co mówią w takich okolicznościach starzy, dobrzy pisowcy: nawet ślepy dostrzega, że to, co jeszcze lat temu 20 było „nie do pomyślenia", jest już do pomyślenia, zrobienia i wybaczenia (sobie).

O własnym autentycznym chuliganie marzy też nowa lewica – tylko że na tym polu pojawia się zawsze ten sam problem. Autentyczny trybun ma mdłości na widok ślicznie ubranej i kochającej rower awangardy postępu.

Wreszcie PiS. Mieć Leppera – prawdziwa gratka. Chociaż... Pan Andrzej miał tę szczególną właściwość, że nie tylko celnie punktował rzeczywistość (nie idealizujmy go przesadnie, potrafił i bzdurzyć jak kabareciarz z Konia Polskiego). Był również wręcz automatycznie samodzielny. Do współpracy z Jarosławem Kaczyńskim nie bardzo by się nadawał. Chciałby mieć swoje zdanie i miałby; pewnie szedłby ścieżką Ludwika Dorna czy Jana Krzysztofa Ardanowskiego. Chociaż widok szefa Samoobrony występującego pod transparentem „Prawo i Sprawiedliwość" byłby wart chwilowego chociażby przymykania oka na nieustawność.

Mimo wszystkich swoich ułomności Lepper był postacią wielokrotnie przewyższającą wielu polityków rozumieniem polskich spraw i autorytetem – zdobywanym w boju z nieporównanie wówczas silniejszym „salonem". Może jednak właśnie z tego powodu nikt by go dzisiaj nie chciał?

eprasa.pl ec52629d92

Polska antytranzytowa

Położenie Polski bywa kłopotliwe. Jesteśmy wciśnięci między dwa żywioły, których paliwem przez większość czasu jest imperializm. Czasem realizujący się przez wpływy zakulisowe, przekupstwo i geopolitykę, a czasem posługujący się po prostu brutalną, militarną siłą. Jednocześnie to samo miejsce na mapie predysponuje nas w warunkach pokoju do bycia punktem przecięcia szlaków, krajem tranzytowym, **bramą do Europy** dla państw azjatyckich, w tym najpoważniejszego gracza, Chin. Po zmianie władzy w 2023 roku kwestie transportu traktowane są przez nowe władze po macoszemu.

Krzysztof Karnkowski

eprasa.pl ec52629d92

Proj. A.Ch.

Szczególnie dotyka to przewozu towarów. Ofiarą polityki władz padają zarówno sieć już istniejąca (PKP Cargo), jak i planowana lub mająca potencjał rozwojowy (CPK, żegluga śródlądowa na Odrze). Zamykamy nawet granice w imię doraźnej i wątpliwej korzyści wizerunkowej, rezygnując z zysków na rzecz Niemiec i rzekomo mającej na tym ucierpieć Rosji.

Tak i nie dla CPK

Przez całą poprzednią kadencję Sejmu opozycja zwalczała ideę zbudowania CPK, choć wcześniej przewijała się ona również przez strategie i dokumenty rządów Platformy. Po objęciu przez nią władzy szefem projektu uczyniono Macieja Laska będącego jednym z głównych krytyków inwestycji. Zaskakujące dla nowego rządu swoją skalą społeczne poparcie dla Centralnego Portu Komunikacyjnego wymusiło na władzy zmianę nastawienia. Nie negowano już samego pomysłu, jednak w nowych planach pozostawiono z niego głównie nazwę, przekreślając większość idei, stojących za pierwotną, „nieprawomyślną" koncepcją. I tak z potężnej inwestycji mającej łączyć ruch osobowy z przepływem towarów, włączających w kolejowy obieg komunikacyjny mieszkańców wielu wykluczonych wcześniej lub słabo skomunikowanych miejscowości, został gadżet dla najbogatszych i największych miast, połączonych z dużym lotniskiem pasażerskim kilkoma liniami kolejowymi obsługiwanymi przez zakupiony za granicą tabor. Idealny przykład ponownej zamiany rozwoju zrównoważonego na polaryzacyjno-dyfuzyjny, oparty na wspieraniu tylko najsilniejszych. Oficjalnie z nadzieją, że i pozostałym coś wtedy skapnie, a tak naprawdę – po prostu z brakiem zainteresowania losem olbrzymiej części kraju i zamieszkujących go ludzi. Wszystko oczywiście pod hasłem „urealnienia", cięcia kosztów i walki z gigantomanią.

Z POTĘŻNEJ INWESTYCJI ZOSTAŁ GADŻET DLA NAJBOGATSZYCH I NAJWIĘKSZYCH MIAST.

Wyjątkowo jednak zwolennicy budowy CPK nie dali się nabrać na te sztuczki i wciąż domagali się realizowania poprzedniej wersji projektu. Równocześnie sprawa została niejako rozbita na mnóstwo podtematów, takich jak: dostęp mniejszych miejscowości do kolei (symbolem tej walki stał się Kalisz), kwestia wyśrubowanych oczekiwań wobec prędkości pociągów sprawiających, że niemożliwe byłoby zwiększenie liczby przystanków między największymi ośrodkami, a równocześnie w przetargach nie mogliby startować polscy producenci, wreszcie interesujący nas wątek cargo. Od początku pomijany przez nowy rząd, co budziło protesty również życzliwych mu środowisk biznesowych, chętnych, by przenieść się ze swoją działalnością spedycyjną do Polski i przy okazji tu, a nie w Niemczech, zostawiać swoje podatki. Dziś można by pomyśleć, że wszystko jest jednak w porządku. W pierwszych dniach października odbyły się nawet organizowane przez CPK warsztaty branżowe „Cargo Community Team". Nie zmienia to faktu, że przewidywania dotyczące udziału cargo w ogólnej perspektywie dla CPK uległy dużemu zmniejszeniu w dokumentach, przygotowywanych już w czasie ekipy Laska. Jak pisali w styczniu dziennikarze portalu money.pl, powołując się na Zrzeszenie Międzynarodowego Transportu Lotniczego IATA: „W 2032 r. CPK ma odprawić 31,4 mln pasażerów. Drastycznie za to spadła zakładana ilość obsługiwanego cargo". Nie tak dawno

eprasa.pl ec52629d92

Sejm przyjął do dalszego procedowania prezydencki projekt ustawy zobowiązujący rząd do budowania lotniska i zintegrowanej z nim infrastruktury według pierwotnego projektu. Jak mówił w Sejmie Marcin Horała: – Przytłaczająca większość obsługi cargo lotniczego jest obecnie obsługiwana przez lotniska leżące poza terenem Polski. Tam są wpływy z podatków, tam są miejsca pracy. To powinniśmy zmienić. Niestety komponent Cargo City to był jeden z tych, które w neo-CPK zostały drastycznie obcięte. Z ośmiu miliardów nakładów inwestycyjnych na Cargo City i Airport City zeszliśmy do małych setek milionów.

Nie po kolei

Po macoszemu rząd traktuje nie tylko planowany segment cargo Centralnego Portu Komunikacyjnego, lecz również istniejące już i kluczowe dla gospodarki i bezpieczeństwa PKP Cargo. – Kondycja PKP Cargo jest fatalna. Zwolniono już prawie cztery tysiące osób i zarząd ogłosił kolejne zwolnienia. Nikt nie wie, w którym kierunku ma iść firma. Według nas celem rządzących jest zlikwidowanie polskiej firmy, w której miejsce pojawią się spółki z Ukrainy oraz Niemiec – mówił przewodniczący Krajowej Sekcji Kolejarzy NSZZ „Solidarność" Henryk Grymel w czerwcu tego roku na falach Radia Maryja. Od przejęcia władzy przez Platformę było jasne, że firmę czekają zwolnienia, oczywiście przeprowadzane pod pretekstem restrukturyzacji. W 2024 roku z pracą w PKP Cargo pożegnało się ok. 4 tysięcy osób. Niektóre z przypadków zwolnień stały się głośne z powodu drastycznych naruszeń przepisów i dobrych obyczajów. Ofiarą tego procederu padły między innymi pracownice będące w ciąży, co szczególnie oburzyło związki zawodowe i zaalarmowane przez nie media. Podobnie jak w Poczcie Polskiej szczególnie chętnie zwalniano działaczy związkowych, na co niedawno w swoim wystąpieniu na połączonym posiedzeniu Krajowej Sekcji Energetyków oraz Krajowej Sekcji Elektrowni i Elektrociepłowni NSZZ „S" zwracał uwagę przewodniczący Solidarności Piotr Duda, mówiąc o pogarszających się relacjach na linii rząd – związki. Na następne miesiące zakład zapowiadał kolejne redukcje etatów. Dobrą wiadomością jest to, że na początku października tego roku sąd pracy uznał zwolnienia grupowe w PKP Cargo za niezgodne z prawem. Kluczowy dla sądu był podnoszony przez związkowców fakt, że zwolnienia grupowe nie mogą zostać przeprowadzone bez planu restrukturyzacji, a tego nie było jeszcze ani w momencie będącego przedmiotem procesu pozbawienia pracy jednej z zatrudnionych kobiet, ani w trakcie kolejnych redukcji. Choć decyzja sądu dotyczy tylko jednego przypadku, należy się spodziewać podobnych decyzji we wszystkich innych sprawach dotyczących PKP Cargo, ponieważ pracownicy byli wyrzucani na bruk w identycznych okolicznościach.

PO MACOSZEMU RZĄD TRAKTUJE KLUCZOWE DLA GOSPODARKI I BEZPIECZEŃSTWA KRAJU PKP CARGO.

Skąd biorą się problemy spółki? Obecne władze ich źródła upatrują głównie w obarczeniu PKP Cargo transportem węgla w obliczu kryzysu surowcowego, co na przełomie lat 2022 i 2023 uniemożliwiało wykonanie części usług świadczonych przez przewoźnika komercyjnie. Równocześnie jednak, czego obecnie rządzący zauważyć nie chcą, to właśnie ta sytuacja pokazuje, jak istotne jest znaczenie firmy dla bezpieczeństwa państwa. Nie tylko energetycznego, lecz również militarnego. Pozostający w gotowości państwowy przewoźnik towarów w sytuacji zagrożenia lub ataku to dla Polski być albo nie być. Równocześnie kłopoty PKP Cargo brały się ze spadku jej udziału w rynku i spadku udziału transportu kolejowego w całej branży. To tendencja ogólnoeuropejska. Trudno jednak uznać, by ratunkiem miało być dopuszczenie do przewozu towarów zagranicznej konkurencji. Z kolei ograniczanie potencjału spółki wpływa też na jej gotowość w przypadku kolejnych działań strategicznych podobnych do przywołanego już transportu węgla. Trzeba tu zauważyć, że każda kolejna ekipa dziedziczyła pogarszającą się sytuację po poprzednikach, więc i każda to im przypisywała winę zarówno za zastane, jak i własne problemy. Związkowcy natomiast zwracają uwagę na problemy w zarządzaniu i brak wsparcia państwa dla sektora

CHIŃCZYCY URUCHOMILI JUŻ ALTERNATYWNE DROGI DLA SWOICH TOWARÓW PROWADZĄCE DO PORTÓW W ROSJI I NIEMCZECH.

eprasa.pl ec52629d92

i przewoźnika. Na koniec wróćmy jeszcze raz do wywiadu przewodniczącego Grymela. Z jego słów wynika, że po restrukturyzacji firma nie będzie w stanie realizować żadnych usług, ponieważ zabraknie zarówno ludzi, jak i infrastruktury. – Zachodzi obawa – mówi Henryk Grymel – że nie będzie miał kto pracować. Żaden klient nie przyjdzie do Cargo, bo powie, że nie jesteśmy rzetelni, bo nie potrafimy zabezpieczyć właściwej usługi, za którą on by zapłacił. I pójdzie do innych firm. [...] Kwestia wyjścia na zero, no to [tak będzie – przyp. red.] jak wszystko się wyprzeda – wagony, lokomotywy, nieruchomości. Weźmy Szczecinek. Miejsce o strategicznej wartości dla wojska. Tam pracują ludzie. Nagle ogłasza się, że cały teren jest do wyprzedania. Takich miejsc jest wiele. Ktoś założył, że zlikwiduje Cargo, i powoli, krok po kroku to realizuje.

Niełatwo więc o optymizm. Zwłaszcza gdy sierpniowy wzrost udziału w masie przewiezionych towarów o 1,37 pkt proc. (w stosunku do lipca) władze spółki przedstawiają jako dowód na skuteczność swej antypracowniczej polityki.

Odra bez łodzi

Aby uzupełnić ten obraz, dodajmy jeszcze kwestie transportu rzecznego na Odrze. Choć miał on być rozwijany, uzyskał nawet dofinansowanie z Unii Europejskiej i stali się też przedmiotem zainteresowania ze strony Czech, jest on sekowany przez Ministerstwo Klimatu i Środowiska. Do historii przeszła wypowiedź wiceminister Urszuli Zielińskiej tłumaczącej, że jest to działalność zupełnie nieopłacalna, i ignorującej przeczące temu przykłady z Niemiec. Obawy budzi też uchwalona niedawno ustawa o stworzeniu Parku Narodowego Dolnej Odry. Choć ministerstwo na swoich stronach zamieściło ostatnio dementi przedstawiające informację o negatywnym wpływie na żeglugę rzeczną powołania parku, postawa resortu każe spodziewać się spowalniania lub sabotowania prac związanych z szerszym wykorzystaniem tej rzeki do transportu. MKiŚ stawia na renaturalizację i jest przeciwne wszelkim inwestycjom transportowym, a nawet przeciwpowodziowym. Natomiast Ministerstwo Infrastruktury deklaruje zainteresowanie rozwojem transportu rzecznego, co sprawia, że przynajmniej w teorii dochodzi tu do konfliktu założeń między dwoma urzędami państwowymi. Problemem mogą też być organizacje ekologiczne oprotestowujące wszelkie próby zmiany statusu rzeki.

Zamknięta granica

Ostatni temat, który warto poruszyć w kontekście podejścia obecnego polskiego rządu do kwestii transportu towarów przez Polskę, dotyczy strategii, lecz konkretnego wydarzenia. A przynajmniej miejmy nadzieję, że tak było. W połowie września nasze władze ogłosiły zamknięcie granicy z Białorusią. Przyczyną miały być trwające na terenie tego kraju białorusko-rosyjskie manewry Zapad. Problem w tym, że ich termin znany był od dawna, a decyzję o zamknięciu granicy ogłoszono z dwudniowym jedynie wyprzedzeniem. Spowodowało to wiele komplikacji, zarówno krótko-, jak i długoterminowych. Na Białorusi utknęło mnóstwo polskich kierowców (co ciekawe, media skupiły się na stwierdzeniu o zablokowanych ciężarówkach tak, jakby nie wiązało się to z poważnymi niedogodnościami dla pracowników, a nie tylko właścicieli polskich firm), co spowodowało straty i niedogodności dla pracowników, którzy stali się de facto zakładnikami sporu granicznego. Decyzja władz skutkowała również zerwaniem łańcucha dostaw z Chin, nowego Jedwabnego Szlaku, którego jesteśmy poważnym ogniwem. Istnieje ryzyko, że należy tu użyć czasu przeszłego, ponieważ Chińczycy uruchomili już alternatywne drogi dla swoich towarów prowadzące do portów w Rosji i Niemczech. I tak na decyzji polskiego rządu nasz kraj zaczął tracić, zyskali natomiast Niemcy, co specjalnie nie zaskakuje, i Rosjanie – co jednak jest pewnym zaprzeczeniem głoszonych oficjalnie – również w tej konkretnej sprawie – zamiarów. Po dwóch tygodniach zdecydowano się na otwarcie pięciu przejść granicznych, nie wiadomo jednak, czy uda się odzyskać wiarygodność w oczach Chińczyków. Tym bardziej że rząd deklaruje, że zostawia sobie możliwość powrotu do blokady w przypadku niesatysfakcjonującej postawy władz Białorusi.

Ekipa Donalda Tuska ogranicza nasze znaczenie jako kraju tranzytowego dla zagranicznych towarów drogą lotniczą, wodną i lądową poprzez szereg działań i zaniechań. Uderza również w polskich przedsiębiorców i pracowników, rezygnując lekką ręką z własnych zysków z opłat i podatków.

MKIŚ STAWIA NA RENATURALIZACJĘ I JEST PRZECIWNE WSZELKIM INWESTYCJOM TRANSPORTOWYM, A NAWET PRZECIWPOWODZIOWYM.

eprasa.pl ec52629d92

Chaos i czekanie na cyfrowego zbawcę

Nie ma miesiąca, a ostatnio wręcz **tygodnia**, w którym Solidarność nie protestowałaby w związku z dramatyczną sytuacją w którejś ze spółek Skarbu Państwa.

Agnieszka Żurek

Protesty dotyczą PKP Cargo, Enei, Poczty Polskiej, Polskiej Grupy Energetycznej, Grupy Azoty... Wszystkie wymienione spółki są strategiczne dla bezpieczeństwa państwa – czy to w dziedzinie energetyki, rolnictwa, transportu czy obiegu informacji.

Nowe twarze, stare schematy

Wszystkie zmagają się z chaosem, katastrofalnymi skutkami polityki Zielonego Ładu, zwolnieniami grupowymi, wyprzedawaniem majątku etc.

„Takiej rozpierduchy, jak jest teraz, to nawet najstarsi listonosze nie pamiętają... Najgorsze jest to, że żad-

Protest Solidarności przed siedzibą PKP Cargo; Warszawa, 19 czerwca 2024 r.

Fot. M. Żegliński

eprasa.pl ec52629d92

na osoba, która doprowadza do tego chaosu, nie ponosi odpowiedzialności za błędne decyzje. Konsekwencje tego ponoszą pracownicy najniższego szczebla i klienci…" – czytamy w jednym z komentarzy na stronie NSZZ „Solidarność" Pracowników Poczty Polskiej. „Zmiana ministra, stary problem. Poczta Polska dalej dryfuje bez odpowiedzialności. Jeżeli ktoś jeszcze łudził się, że zmiana ministra w MAP [Ministerstwie Aktywów Państwowych] przyniesie realną poprawę w sytuacji Poczty Polskiej, dziś może tylko rozłożyć ręce z bezsilności. Nowe twarze, stare schematy. Problemy, brak strategii, chaos decyzyjny, kadrowe karuzele i przerzucanie winy nadal trwają w najlepsze" – piszą związkowcy.

Co tymczasem zapowiada minister aktywów państwowych? Wprowadzenie do spółek Skarbu Państwa korporacyjnego systemu rozliczania ich efektywności. – Zakładam, że te KPI-e [kluczowe wskaźniki efektywności, pojęcie zapożyczone z nowomowy korporacyjnej – przyp. autorki] będą bardzo ważnym elementem do oceny prac zarządów i będą obejmowały m.in. efektywność w zakresie local content [wskaźnik określający udział lokalnych – krajowych lub regionalnych – przedsiębiorstw, pracowników, materiałów i usług w realizacji dużych projektów inwestycyjnych – przyp. aut.] – powiedział Wojciech Balczun podczas konferencji Horizon Business Impact, która odbyła się w Warszawie na początku października br.

Prywatyzacja?

Nietrudno zgadnąć, że narzucenie spółkom Skarbu Państwa paradygmatu efektywności finansowej będzie milowym krokiem w stronę ich prywatyzacji – przed czym ostrzega Solidarność. Będzie to także krok w stronę jeszcze bardziej agresywnego wdrażania polityki Zielonego Ładu, narzucającej spółkom z sektorów energetycznego i chemicznego absurdalne wymogi „zeroemisyjności" poprzez stosowanie przemocy ekonomicznej. A jeśli ludzie będą się przeciwko tym pomysłom buntować? Część z nich zastąpimy sztuczną inteligencją. Nie jest zresztą tajemnicą, że ten kierunek staje się modny w Unii Europejskiej. Kiedyś, aby przystąpić do tej wspólnoty, państwa musiały spełniać wymagania dotyczące systemów prawnych, gospodarki, przestrzegania praw człowieka etc. Dziś widać, że Unia stawia bardziej na „prawa Planety" oraz na ograniczenie roli ludzi w podejmowaniu decyzji na każdym możliwym szczeblu. Obrazuje to przykład ubiegającej się o członkostwo w UE Albanii, której premier Edi Rama powiedział, że wysiłki kraju na rzecz przystąpienia do Unii Europejskiej będą koncentrować się na „innowacjach i sztucznej inteligencji jako dwóch strategicznych filarach naszych działań na rzecz Albanii 2030". Wysiłki te są tak gorliwe, że w albańskim parlamencie po raz pierwszy na świecie wystąpiła sztuczna inteligencja w randze… ministra. Jest to „cyfrowy asystent, który pomaga ludziom poruszać się po usługach rządowych online". Premier Rama wyjaśnił, że „minister" został stworzony wirtualnie i jest on odpowiedzialny za zamówienia publiczne. Cel? Ograniczenie korupcji.

„Inteligentni", że aż strach

Podobny kierunek obserwujemy także w Polsce. Cyfryzacji poświęcono lwią część strategii rządowej pt. „Cele Polityki Energetycznej Polski do 2040 r.". „W ramach projektu PEP2040 [Polityki Energetycznej Polski – przyp. aut.] zaplanowano działania zmierzające do rozwoju inteligentnych sieci elektroenergetycznych, które mają umożliwić bardziej świadome wykorzystanie energii, efektywne zarządzanie oraz ograniczenie strat przy zachowaniu wysokiej jakości zasilania. Jako kluczowe dla tej koncepcji wskazano rozwiązania z zakresu technologii informacyjnych i telekomunikacyjnych, takie jak inteligentne systemy telemetryczne bądź systemy automatycznego monitorowania, sterowania, regulacji i zabezpieczenia sieci. Istotna będzie również wymiana danych między urządzeniami, co wiąże się z koniecznością rozpowszechnienia technologii Internetu Rzeczy. Ponadto działania te doprowadzą do wzmocnienia pozycji konsumenta energii elektrycznej, ponieważ przewidziane w strategii wyposażenie gospodarstw domowych w inteligentne liczniki jest ściśle związane z budową inteligentnej sieci" – głosi strategia. Zapowiada ona także m.in. „działania z wykorzystaniem nowoczesnych technologii cyfrowych na rzecz zmian w obszarze energetyki", „rozwój inteligentnych sieci elektroenergetycznych wraz z utworzeniem

MINISTER AKTYWÓW PAŃSTWOWYCH ZAPOWIADA WPROWADZENIE DO SPÓŁEK SKARBU PAŃSTWA KORPORACYJNEGO SYSTEMU ROZLICZANIA ICH EFEKTYWNOŚCI.

eprasa.pl ec52629d92

operatora informacji rynku energii", wdrożenie cyfrowego systemu łączności między operatorami systemów dystrybucyjnych", „wyposażenie 80% gospodarstw domowych w inteligentne liczniki do 2028 r.". Jak widać, będziemy tak niesamowicie „inteligentni", że nic tylko upajać się własnym sukcesem.

A jak jest w rzeczywistości? Ci, którzy znają się na rzeczy i od lat mają do czynienia z konkretną pracą w strategicznych spółkach, a nie z wymyślaniem zza biurka rozmaitych „strategii", ostrzegają, że „zielona energia" jest niezwykle zawodna, zwłaszcza przy zmianach pogodowych (wystarczy, że przez pewien czas nie świeci słońce i nie wieje wiatr), nie mówiąc już o kryzysach czy wojnie, o której mówi się przecież bezustannie. Związkowcy z Solidarności w Elektrowni Dolna Odra tłumaczą, że tylko we wrześniu br. ich elektrownia była przywoływana do pracy w krajowym systemie ponad 20 razy. A gdyby, nie daj Boże, doszło do wojny czy innego rodzaju kryzysu, elektrownia dzięki posiadanym zapasom węgla może dostarczać obywatelom prąd przez miesiąc. Odpowiadając ministrowi Balczunowi w kwestii KPI-ów, chętnie przywołałabym pytanie Anny Grudzińskiej, szefowej „S" z Dolnej Odry: „Na ile wyceniamy nasze bezpieczeństwo energetyczne?".

Szalona, zielona

– Dwudziesty stopień zasilania [najwyższy stopień ograniczenia poboru mocy, wprowadzany w sytuacji kryzysowej, gdy istnieje ryzyko blackoutu – przyp. aut.]. Pamiętacie to? Czy to już przeszłość? Nie! Niedługo może okazać się, że to będzie nasza rzeczywistość. To, do czego doprowadziła w PRL-u komunistyczna władza, może stać się już niedługo faktem w naszej rzeczywistości. Do tego doprowadzi Zielony Ład. Ta szalona, zielona ideologia, która tutaj, w Brukseli, dyktuje warunki i przede wszystkim niszczy polską, europejską energetykę i gospodarkę. Pamiętajcie, już niedługo możecie nie mieć prądu i mieć dwudziesty stopień zasilania – alarmowała niedawno była premier Beata Szydło. Dwudziesty stopień zasilania oznaczał w okresie PRL-u po prostu przerwy w dostawie prądu do mieszkań. Wyłączały się telewizory i lodówki, gasło światło, a mieszkańcy zapalali świeczki. Wyłączenia prądu w latach 70. były spowodowane głównie kryzysem, z kolei w okresie stanu wojennego władza wykorzystywała je do walki z opozycją – utrudniając w ten sposób działania podziemnej Solidarności, ograniczając mobilność ludzi i ich komunikację.

> ***Dwudziesty stopień zasilania. Pamiętacie to? Czy to już przeszłość? Nie! Niedługo może okazać się, że to będzie nasza rzeczywistość.***
>
> **była premier BEATA SZYDŁO**

Co stoi na przeszkodzie, żeby podobne techniki – tylko, rzecz jasna, „inteligentne" i z wykorzystaniem „local contentu", stosować także w wieku XXI? Nie segregujesz, chamie, śmieci? Wyłączymy ci prąd. Głosujesz na tych, którzy walczą z Zielonym Ładem i chcą uśmiercić Planetę? A siedź w ciemności i pokutuj.

Czy chaos w spółkach Skarbu Państwa ma doprowadzić do ich upadku, prywatyzacji, a następnie przejęcia przez „inteligentnego" Wielkiego Brata, którzy wszystko nam pięknie i cyfrowo „uporządkuje"? A gdyby coś poszło nie tak, do odpowiedzialności będziemy mogli pociągnąć najwyżej jakiegoś cyfrowego „ministra"? Oby nie. Byłoby to stworzeniem rzeczywistości rodem z Orwella, przy której PRL jawi się jako poczciwy październik, w którym wiele ograniczeń wolności dało się jednak obejść.

Oby naszą rzeczywistością nie stało się ostatnie zdanie najkrótszej opowieści o dywersyfikacji z czasów PRL-u: „Wyłączą nam gaz – mamy prąd, wyłączą nam prąd – mamy gaz. Wyłączą nam prąd i gaz – nic nie mamy, spi....lamy!".

Tylko dokąd?

RYSUJĘ, CO MYŚLĘ **WASIUKIEWICZ**

eprasa.pl ec52629d92

KARUZELA BLOGERAMI

JAKUB ZGIERSKI

„REFORMA26” I KONIEC POLSKIEJ SZKOŁY

Jednym z filarów budowy unijnego superpaństwa ma być wspólny nadzór nad oświatą. W 2026 roku do systemu Europejskiego Obszaru Edukacyjnego (EOE) miałaby dołączyć także Polska. Oznacza to, że o kierunkach nauczania w naszym kraju w coraz większym stopniu decydować będzie Bruksela.

Po wyborach w 2023 roku nowy rząd Donalda Tuska powierzył kluczowe resorty edukacji, kultury i rodziny politykom o wyraźnie lewicowych poglądach. Minister Barbara Nowacka od początku zapowiadała głęboką reformę systemu oświaty i niestety dotrzymała słowa. Projekt „Reforma26. Kompas Jutra” ma – według MEN – przekształcić szkołę w nowoczesną instytucję dostosowaną do wyzwań XXI wieku. Krytycy jednak ostrzegają, że to nie modernizacja, lecz ideologiczny eksperyment, który może doprowadzić do likwidacji naszego narodowego modelu edukacji.

Najpoważniejszy zarzut dotyczy właśnie włączenia Polski do EOE. To krok w stronę utraty suwerenności w kształtowaniu programów nauczania na rzecz instytucji międzynarodowych – Komisji Europejskiej czy ONZ. Te organizacje od lat forsują wizję globalnego porządku opartego na ideologii postnarodowej. Źródeł takiej integracji można szukać już w „Manifeście z Ventotene” Altiera Spinellego, który postulował powstanie jednego europejskiego państwa z własnym rządem i armią. W tym świetle zmiany w polskim szkolnictwie nie jawią się jako lokalne zjawisko, lecz element szerszego projektu.

Reforma (a właściwie deforma) edukacji w wydaniu ekipy Barbary Nowackiej wpisuje się w proces, który można określić mianem globalnej rewolucji neomarksistowskiej. Jej cel sprowadza się do rozmycia tożsamości narodowych, zatarcia granic kulturowych i podporządkowania społeczeństw władzy ponadnarodowych elit. W tym systemie ogromną rolę odgrywają ONZ, UNESCO, UNICEF czy WHO, a Unia Europejska działa jako wykonawca tych idei. W efekcie dzieci i młodzież stają się obiektem eksperymentu socjotechnicznego, którego skutki mogą być trudne do odwrócenia.

Nowa rzeczywistość edukacyjna może przynieść nie tylko zmianę programów nauczania, lecz także całkowitą redefinicję roli nauczyciela i ucznia. Szkoła ma przestać być miejscem przekazywania wiedzy o polskiej kulturze i historii, a stać się przestrzenią kształtowania „globalnych kompetencji” i postaw zgodnych z unijną wizją społeczeństwa przyszłości. Oczywiście nie będzie w niej miejsca ani na polską tradycję niepodległościową, ani chrześcijańskie dziedzictwo europejskiej cywilizacji.

Działania MEN – usuwanie z podręczników treści patriotycznych, religijnych i historycznych – prowadzą do osłabienia więzi młodych ludzi z ojczyzną. W ich miejsce wprowadzane są tzw. wartości unijne: edukacja seksualna, prawa reprodukcyjne czy różnorodność kulturowa. Chodzi o wychowanie „obywatela Europy” o nieokreślonej tożsamości, pozbawionego zakorzenienia w tradycji narodowej i podatnego na propagandę nowych elit władzy. To już nie ewolucja, lecz szeroko zakrojony projekt przebudowy naszej świadomości.

eprasa.pl ec52629d92

NA RATUNEK Platformie

Z nieoficjalnych prognoz **skrywanych przed opinią publiczną** ma jasno wynikać: nadciąga wielki kryzys, a partia rządząca, z Donaldem Tuskiem na czele, sobie z nim nie poradzi.

Andrzej Gajcy

Fot. M. Żegliński

Jest źle, a będzie jeszcze gorzej. Po dwóch latach od wygranych wyborów parlamentarnych koalicja rządząca trzęsie się w posadach. W Platformie Obywatelskiej pesymizm ma przeplatać się z wyraźnym lękiem związanym z widmem utraty władzy. Aura Donalda Tuska przestaje działać. Ludzie są rozgoryczeni i zgodni co do oceny, że ten rząd do niczego się nie nadaje. Lecz poza „kierownikiem" nie ma nikogo, kto mógłby przyjść z ratunkiem.

Pierwsze symptomy kryzysu już widać. Wbrew rządowej propagandzie i PR-owym trikom sypie się gospodarka. Trzeba to zacząć mówić wprost. Nie zmienią tego faktu zaklęcia ministra finansów Andrzeja Domańskiego, który aby spiąć budżet, używa kreatywnej księgowości, pomijając istotne wskaźniki i zachodzące w światowej gospodarce procesy. Aby sobie uświadomić, że pewna era wielkich wydatków publicznych zapoczątkowana globalnym kryzysem finansowym na początku lat dwutysięcznych dobiega na naszych oczach końca, wystarczy popatrzyć na to, co dzieje się we Francji czy w Wielkiej Brytanii. To proces nieunikniony także u nas.

Politycznie także jest źle. Sypie się od środka koalicja rządząca, która nie wiadomo, czy i w jakim stanie przetrwa listopadowe głosowania nad wymianą rotacyjnego marszałka Sejmu. Większość parlamentarna wisi już nie tylko

eprasa.pl ec52629d92

na przysłowiowym włosku, lecz uzależniona jest od tego, którą nogą wstanie Szymon Hołownia niemogący się zdecydować, czy odejść z polityki, czy w niej pozostać bez „stołka". Sondaże współrządzącej: Lewicy, PSL-u i Polski 2050 są bezlitosne: partie te są dzisiaj poniżej progu wyborczego.

I choć Platforma Obywatelska może liczyć obecnie na 30-procentowe poparcie, to partię rządzącą zaczynają nawiedzać duchy z przeszłości, które straszą widmem porażki w kolejnych wyborach.

Wszystkie oczy zwrócone są na jednego człowieka. Jest nim Donald Tusk, który – co zaskakuje naprawdę wielu w partii – nie ma tym razem recepty na główne choroby trapiące jego ugrupowanie. Co więcej, jego aura przestaje działać, a amok na punkcie walki z Prawem i Sprawiedliwością pcha całą partię w kompletne szaleństwo. W tym aspekcie poszanowanie prawa i konstytucji całkowicie się nie liczą.

Tak jak nie liczą się obiecane reformy czy 100 konkretów, które Platforma i sam Donald Tusk złożyli wyborcom przeszło dwa lata temu. Ten rząd niczego nie dowozi i do niczego się nie nadaje, a poza tym jest kompletnie niekompetentny. I trudno z tą diagnozą, przedstawioną niedawno publicznie przez lidera Polski 2050, się nie zgodzić. Co z tego, że latem doszło do rekonstrukcji rządu, która bardziej przypominała układanie kostki Rubika zamiast konkretów i nadziei na trudne czasy, jak to opisywały tak sprzyjające władzy dziś lewicowe media.

Za to „kierownikowi" przez głowę przechodzą stare, kiedyś sprawdzone pomysły, jak choćby nowe otwarcie w postaci zjednoczenia z upadłą partią i być może nawet zmiana nazwy partii, a także abdykacja i ucieczka – być może znowu do Brukseli – i pozostawienie w kraju swojego pomazańca. Tylko czy takie chwyty mogą uratować Platformę?

Porażka, której nie rozumie

Zarówno w partyjnych dołach, jak i wśród szeregowych posłów PO mało kto ma wierzyć, że Donald Tusk jest w stanie poprowadzić ich do kolejnego wyborczego zwycięstwa. Porażka w wyborach prezydenckich i wygrana Karola Nawrockiego naprawdę Tuska bardzo zabolały. Do dzisiaj ma on nie rozumieć do końca tego, co się stało i jak było to możliwe, że Polacy wybrali kogoś takiego jak Nawrocki na prezydenta. Zresztą nie tylko on! Zwłaszcza że partia Tuska w tę kampanię zaangażowała olbrzymie środki – zarówno finansowe, jak i te medialno-propagandowe, a kampania prezydencka obliczona była wyłącznie na zniszczenie przeciwnika wszelkimi metodami. I choć media sprzyjające władzy stanęły na wysokości zadania, formułując zarzuty o sutenerstwo, niepoparte do dzisiaj żadnym twardym dowodem, czy odpalając temat słynnej kawalerki, nie zdołały zatopić przeciwnika. Próba zablokowania zaprzysiężenia czy unieważnienia wyborów prezydenckich, którą forsował Roman Giertych, także spełzła na niczym.

> Problemem Sikorskiego jest **brak zaplecza politycznego**. Nie stoi za nim partia ani żadne skrzydło czy frakcja.

Wbrew oficjalnemu przekazowi w partii rządzącej coraz więcej osób widzi, że rządzenie i reformowanie kraju nie idzie, jak należy. Niczego rząd nie dowozi, żadnej obietnicy nie realizuje. Państwo stoi w miejscu.

Wieczny kandydat i plan B

W obliczu niemocy i braku perspektyw niektórzy w Platformie zaczęli orientować się na Radosława Sikorskiego jako tego, który miałby być przyszłością partii. Czy jednak na pewno się do tego nadaje?

Głośna wrzutka „Newsweeka", według której to Sikorski w maju lub w czerwcu przyszłego roku miałby podpisać jako premier główną umowę z Amerykanami na budowę polskiej elektrowni atomowej, która zostanie przedstawiona jako „pierwszy wielki sukces nowego premiera", zdechła medialnie bardzo szybko. Zresztą sam Sikorski, pytany o te doniesienia, zaprzeczał jednoznacznie. „Nie będę" – odpowiadając w ten sposób na pytanie, czy będzie zastępować premiera Tuska do końca kadencji.

Zresztą nie powinno to nikogo dziwić – jeśli rzeczywiście taki plan istnieje, nie mógłby go potwierdzić. A że Sikorski chciałby zostać premierem, to pewne jak 2 + 2. Wielu nie tylko w Platformie wie, że o tym marzy, choć najbardziej o prezydenturze, co mu się nie udało dwukrotnie – przegrał zarówno w prawyborach w 2010 roku z Bronisławem Komorowskim, jak i teraz, w 2024 roku, z kretesem z Rafałem Trzaskowskim (74,75 proc. do 25,25 proc.).

Co do samego Trzaskowskiego to wie on także, że po dwóch porażkach nikt już mu trzeciej szansy nie da. W Platformie jego kariera dobiega końca. Wypychany przez Tuska i jego ludzi, jak w sprawie nocnej prohibicji w Warszawie, jest namawiany do założenia nowej, bardziej lewicowej partii, być może z Szymonem Hołownią. I niewykluczone - co coraz bardziej słychać w partii rządzącej – że Trzaskowski odejdzie z PO po listopadowym kongresie, na którym ma dojść do znaczących zmian we władzach Platformy Obywatelskiej. Media trąbią, że właśnie Trzaskowski ma stracić funkcję wiceprzewodniczącego na rzecz Sikorskiego. W jednym ze scenariuszy ma on zostać szefem rządu.

eprasa.pl ec52629d92

Lord, który gardzi ludźmi

Plan ten wydaje się równie realny, jak i niemożliwy. Dlaczego? Bo patrząc chłodno, ten 62-letni polityk wydaje się mieć wszystkie cechy premiera: prezencję, znajomość języków, jest częścią elit zachodniego świata, ma wejścia do największych mediów. Zatem w czym problem?

Problemy są przynajmniej dwa, i to fundamentalne. Największym kłopotem dla Sikorskiego jest on sam, a dokładniej jego autentyczne poczucie wyższości nad innymi, którymi szczerze gardzi. Zwyczajnie w partii mało kto go lubi, co pokazały – i to dwukrotnie – wspomniane już prawybory. To poczucie arystokratyzmu sprawiało, że nawet bliskich współpracowników czy osoby pracujące u niego w prywatnym domu traktował jak służbę, która ma o każdej porze dnia i nocy służyć państwu Sikorskim – lub jemu samemu, jak w przypadku funkcjonariuszy Biura Ochrony Rządu zamawiających pizzę do Chobielina, co przed laty uczyniło z niego bohatera internetowych memów.

Drugim problemem Sikorskiego jest brak zaplecza politycznego. Nie stoi za nim partia ani żadne skrzydło czy frakcja. Wrócił na fotel szefa MSZ i został ostatnio wicepremierem wyłącznie dzięki Donaldowi Tuskowi. – Bez Tuska politycznie nie ma Sikorskiego – mówią w Platformie, dodając, że bez zgody Tuska żadnego przewrotu w rządzie nie będzie. A tym bardziej abdykacji i koronacji nowego premiera, choć takie głosy w koalicji są coraz częstsze. Ale to Tusk jest dzisiaj liderem.

A zatem skąd ta medialna wrzutka, że Sikorski miałby zastąpić Tuska, i to już za chwilę? Takie plotki w polityce nie biorą się bez powodu. To stara praktyka, którą zwłaszcza sam Tusk wielokrotnie stosował, gdy chciał sprawdzić odbiór medialny i społeczny danego politycznego posunięcia.

Podobny mechanizm szef PO zastosował już w 2014 roku. Mimo wielokrotnych zapewnień, że nie obejmie funkcji szefa Rady Europejskiej, tak właśnie zrobił, a premierem została ówczesna marszałek Sejmu Ewa Kopacz. Podobnie jak Sikorski teraz nie miała ona żadnego partyjnego zaplecza i początkowo zaprzeczała, by potem postąpić tak, jak zadecydował Tusk. Co istotne, Tusk widział już wtedy, że rządy PO zmierzają do końca i najbliższe wybory wygra PiS. I tak się stało, a Platforma zapłaciła za tę podmianę dwoma kadencjami w opozycji.

Tę analogię dostrzegają sami politycy dzisiejszej władzy, którzy w kuluarach przyznają, że mają wrażenie, jakby czas się cofnął, a władza zaczyna im wymykać się z rąk. Choć obecna sytuacja polityczna jest diametralnie inna niż wtedy. Czy zatem z Sikorskim ma być podobnie?

Choć Radosław Sikorski to nie Ewa Kopacz, to jednak jego polityczna siła jest podobna – nie ma żadnego przełożenia na rząd i partię. – Radek wie, że politycznie jest słaby – mówią jego partyjni koledzy. I mają rację. Jego próby budowania pozycji poprzez konflikt z prezydentem Nawrockim czy klapa inicjatywy „Zryw", która miała być odpowiedzią na inicjatywę Campus Polska, pokazują, że nie jest on liderem. Niektórzy w PO kpią z niego, że nawet na spotkanie z samym sobą nie był w stanie zgromadzić zwolenników i sympatyków.

> Donald Tusk w roku wyborczym 2027 będzie obchodził 70. urodziny. Ma on zdawać sobie sprawę, że aby partia przetrwała, stery musi przejąć **ktoś młodszy**.

Kongres Zjednoczeniowy i nowe otwarcie

Wróćmy do samego Donalda Tuska. W roku wyborczym 2027 będzie obchodził 70. urodziny. Ma on zdawać sobie sprawę, że aby partia przetrwała, stery musi przejąć ktoś młodszy. Czy będzie nim Sikorski? Niewykluczone. A może ktoś inny? Być może.

Zwłaszcza że ostatnie notowania nie są dla Tuska dobre. Aż 47 proc. respondentów w sondażu dla RMF FM chce zmiany na stanowisku szefa rządu. Ktoś może powiedzieć: to tylko nic nieznaczący sondaż. To prawda. Ale jest on kolejnym w ostatnich miesiącach sygnałem, że Polacy, niezależnie od partyjnych sympatii, źle oceniają obecne „uśmiechnięte" rządy.

Nawet guru liberalnej gospodarki Leszek Balcerowicz wytknął ostatnio rządowi „dezinformowanie Polaków" oraz miejsce w niechlubnej czołówce UE, jeśli chodzi o deficyt finansów publicznych, sugerując, że należałoby zastanowić się nad sensownością utrzymywania takich programów jak 800 plus. Zatem powodów do uśmiechu nie ma. I chyba nie będzie. I Tusk o tym wie.

Mimo fatalnych notowań rządu poparcie dla KO wciąż przekracza 30 proc. Jednak te notowania mogą nie uchronić jej przed podobnym scenariuszem, jakiego doświadczyło PiS dwa lata temu – pierwszym miejscem w wyborach i utratą władzy.

Już niebawem odbędzie się Kongres Zjednoczeniowy, na którym zapadną ostateczne decyzje co do Platformy Obywatelskiej. Partia ma połączyć się z Nowoczesną i Inicjatywą Polską. Zmienić się ma identyfikacja wizualna, a nieoficjalne doniesienia mówią o zmianie nazwy partii Tuska na Koalicja Obywatelska. Nowa nazwa ma być symbolem nowego otwarcia, ale bez rozliczenia się z błędami i z samym Donaldem Tuskiem w roli lidera może to być tylko fasadowa zmiana, prowadząca do nieuchronnego końca u władzy.

eprasa.pl ec52629d92

Rada Dialogu Społecznego w Pałacu Prezydenckim

W ubiegłą środę w Pałacu Prezydenckim odbyło się posiedzenie plenarne Rady Dialogu Społecznego. Rozmawiano przede wszystkim na temat **transformacji energetycznej**.

Barbara Michałowska

W posiedzeniu wziął udział prezydent Karol Nawrocki. Głównym tematem spotkania była „transformacja energetyczna Państwa a bezpieczeństwo socjalne obywateli i konkurencyjność polskiej gospodarki".

„Spotykają się ci, którzy obiecywali, i ci, którym obiecywano"

– Dwa lata temu obiecano Polakom bardzo dużo. Mógłbym tu przywołać co najmniej 100 konkretnych powodów, dla których obywatele tracą wiarę, że ich głos ma znaczenie. Mówię o tym na RDS, bo spotykają się dzisiaj przedstawiciele tych, którzy obiecywali, i ci, którym obiecywano. Ja ze swoich obietnic jako prezydent Polski zamierzam się wywiązywać – powiedział prezydent Karol Nawrocki podczas posiedzenia.

– Rada Dialogu Społecznego jest nie tylko instytucją uczestniczącą w systemie tworzenia prawa i kształtowania warunków polskiej gospodarki. Jest też, a być może przede wszystkim, wyrazem praktycznej realizacji dziedzictwa Solidarności – przekonywał prezydent.

„To tutaj powinna toczyć się debata"

– Rozmawiamy o transformacji energetycznej, o zmianach w kontekście polityki klimatycznej. A wiemy, jak trudna jest sytuacja w przemyśle. Nie pozwólmy, by te tematy omijały Radę Dialogu Społecznego – to tutaj powinna się toczyć ta debata. [...] Lepiej wyjść z kryjówki i powiedzieć wprost: „Chcę rozmawiać" – powiedział z kolei podczas posiedzenia plenarnego Rady Dialogu Społecznego w Pałacu Prezydenckim Piotr Duda.

– Powstanie Rady Dialogu Społecznego to naprawdę był polityczny konsensus. Mamy dziś wspaniałe narzędzia do prowadzenia dialogu społecznego – pytanie tylko, czy z nich korzystamy – dodał.

Zmiany w składzie RDS

Przed posiedzeniem odbyła się uroczystość powołania w skład Rady Dialogu Społecznego nowych członków. Bogdan Kubiak, doradca społeczny prezydenta RP, został powołany na przedstawiciela prezydenta z głosem doradczym w Radzie Dialogu Społecznego.

Na członków RDS Karol Nawrocki powołał: Wojciecha Balczuna – ministra aktywów państwowych, Miłosza Motykę – ministra energii, oraz Jolantę Sobierańską-Grendę – minister zdrowia.

Powołani zostali także: Michał Gawroński z Federacji Przedsiębiorców Polski, Zbigniew Marchwiak ze Związku Rzemiosła Polskiego, Zdzisław Siwiński ze Związku Rzemiosła Polskiego, Iwona Sroka ze Związku Pracodawców Business Centre Club, a także Wojciech Trojanowski z Pracodawców Rzeczypospolitej Polskiej.

„Pałac Prezydencki jest miejscem dialogu"

W swoim wystąpieniu prezydent Karol Nawrocki przekonywał, że Pałac Prezydencki jest miejscem dialogu społecznego i że chciałby, by toczyły się w nim dyskusje na tematy wrażliwe dla polskich obywateli.

– Bardzo Państwu dziękuję, że podejmujecie się tego zadania, i wierzę, że kolejne Rady Dialogu Społecznego będą wypełnione konstruktywną dyskusją o teraźniejszości i przyszłości naszej ukochanej Rzeczpospolitej – zaznaczył.

Bogdan Kubiak zaś powiedział nam po uroczystości: – Dla mnie wielkim zaszczytem było już samo powołanie na doradcę społecznego pana prezydenta, które odbyło się 18 sierpnia. Dzisiejsze powołanie również uważam za ogromny zaszczyt i zobowiązanie. Miło będzie także znowu w tym samym gronie współpracować i pomagać wspierać dialog społeczny w imieniu jego patrona, czyli pana prezydenta.

eprasa.pl ec52629d92

Dziejowa misja patointeligencji

Ucieczka od rozumu – tak można by w skrócie opisać stan współczesnych polskich **elit akademickich i eksperckich**. Ich zadaniem przestało być dochodzenie prawdy, a stało się znalezienie uzasadnienia czy podstawy prawnej do łamania prawa przez obecny rząd.

Mariusz Staniszewski

Oczywiście nie dotyczy to wszystkich, którzy są lub pragną być uznawani za członków intelektualnej elity. Jednak znaczna jej część, a szczególnie najbardziej krzykliwa awangarda, wyznacza tor myślenia, którym podążają ludzie nauki, sztuki czy media. Otrzymując gotową matrycę myślową, wiedzą, że powielając nawet największe idiotyzmy – np. o demokracji walczącej, przywracaniu praworządności totalitarnymi metodami czy wprowadzeniu cenzury w imię wolności wypowiedzi – nie narażą się władzom uczelni i instytutów. Bierność, serwilizm i intelektualna miałkość zapewniają bezpieczeństwo oraz przynależność do najlepszej – w ich mniemaniu – części społeczeństwa.

Właśnie w ten sposób dzisiejsze polskie elity odeszły od zasady, która powinna być dla nich kluczowa – kierowania się rozumem. Nie robią tego, bo niezależność myślenia stała się niebezpieczna. Można stracić etat na uczelni, granty czy możliwość zdobycia stopnia naukowego.

Groźna ewolucja

Doskonałym przykładem przemiany z intelektualisty w patointeligenta jest Marek Migalski. Dwadzieścia lat temu był zdolnym doktorem politologii, który

eprasa.pl ec52629d92

do oceny sytuacji politycznej w naszym kraju używał narzędzi naukowych. Dzięki temu wyłamywał się ze schematu akademika ślepo popierającego Platformę Obywatelską, progresywny kierunek zmian społecznych oraz uzasadniającego poczynania tego czy innego polityka. Zamiast tego starał się wyciągać wnioski z ich słów i czynów.

Zaczęła się sława i pojawiły się poważne – jak na pracownika naukowego – pieniądze. Łamy gazet oraz radiowe i telewizyjne studia stały otworem. Migalski tak bardzo rozsmakował się w polityce, że został nawet eurodeputowanym PiS. Gdy jednak wiedza teoretyczna zderzyła się z praktyką, okazało się, że dr Marek Migalski w sumie niewiele rozumie.

Skończyła się kadencja w Parlamencie Europejskim, a wraz z nią spore dochody. W PiS nie chcieli mieć już z nim nic wspólnego, a on czuł się zawiedziony. Na uczelni przestał być mile widziany i nigdzie nie mógł obronić pracy habilitacyjnej. Sytuacja zmieniła się dopiero wtedy, gdy uznał logikę stada i z pełną zaciekłością skupił się na atakowaniu Jarosława Kaczyńskiego i jego formacji.

Było to śmieszne, gdyż robił to z zaangażowaniem typowym dla neofity, ale wreszcie blokada została zdjęta. Migalski obronił pracę habilitacyjną, jednak kosztem patologicznego myślenia, które każe za wszelką cenę kpić z tego, co ważne dla wspólnoty. Najbardziej spektakularnym wykwitem tego zniewolenia umysłu opartego na ekstremalnym utylitaryzmie, polegającym na oderwaniu od wszelkich wartości i świętości, był atak na pilota F-16, który zginął podczas pokazów w Radomiu. Migalski wylał na niego kubły pomyj za to, że zniszczył sprzęt warty setki milionów. Śmierć, ból rodziny, szacunek w jednostce nie miały znaczenia.

Nie był to jednak incydentalny wybryk, ale konsekwencja neofickiej zajadłości. Wcześniej, w czasie pandemii COVID-19, doktor politologii drwił na przykład z wiary katolików w Boga. Pytał – niczym uczeń podstawówki – dlaczego On nie uwolni wierzących od tej plagi albo cudownie nie uzdrowi. Prymitywizm myślenia posunięty do granic absurdu. Byle tylko błysnąć cynizmem.

NIEZALEŻNOŚĆ MYŚLENIA STAŁA SIĘ NIEBEZPIECZNA. MOŻNA STRACIĆ ETAT NA UCZELNI, GRANTY CZY MOŻLIWOŚĆ ZDOBYCIA STOPNIA NAUKOWEGO.

Elity, które szydzą ze świętych zasad, w rzeczywistości skrycie dążą do sakralizacji czegoś innego.

CHANTAL DELSOL

Profesorowie do usług

Oczywiście podobne przykłady można mnożyć do znudzenia. Prof. Radosław Markowski, jeden z najbardziej charakterystycznych przedstawicieli patointeligencji, wsławił się wyrzuceniem z domu gości, którzy w portfelach mieli karty lojalnościowe Orlenu (oczywiście w czasie, gdy prezesem był Daniel Obajtek). Nie ukrywa także potrzeby wprowadzenia cenzury czy używania ZOMO (Zmechanizowanych Oddziałów Milicji Obywatelskiej) wobec opozycji.

Dr hab. Magdalena Środa przyznała, że brała udział w zlocie czarownic w Salem, oraz uważa, że mężczyźni nie są fizycznie silniejsi od kobiet. Prof. Monika Płatek była łaskawa stwierdzić, że ze związków homoseksualnych rodzi się więcej dzieci niż z heteroseksualnych. Prawnik prof. Wojciech Sadurski otwarcie popiera łamanie prawa przez ministra sprawiedliwości, tak pisząc o jego projekcie ustawy: „Formaliści-legaliści (czyli „pięknoduchy") ręka w rękę z PiS-owskimi prawnikami atakują projekt ustawy ministra Żurka w sprawie neosędziów (mówiący w skrócie: „Go back where you came from"). A więc jest dobry". Innymi słowy, nie wolno oglądać się legalizm, gdy walczy się z PiS.

W podobnym tonie wypowiadał się prof. Marek Safjan, który uznaje, że w obecnej sytuacji w Polsce można stosować takie same zasady jak III Rzeszy, gdyż podobne dostrzega zagrożenie.

Nie chodzi tu jednak o epatowanie krwistymi cytatami i przykładami oderwania od rzeczywistości, ale o podporządkowanie autorytetu nauki partyjnej propagandzie.

eprasa.pl ec52629d92

Broń barbarzyńców

Dr hab. Michał Rusinek, człowiek znany głównie z tego, że był sekretarzem noblistki Wisławy Szymborskiej, próbował na łamach „Gazety Wyborczej" wykpić mój artykuł z „Tygodnika Solidarność" o tym, jak Tusk zmienił się w politycznego wampira. Oczywiście nie odnosił się do merytorycznej zawartości tekstu, który opisywał jałowość polityki premiera i jego brak zdolności do stworzenia własnej, pozytywnej agendy. Zamiast tego Tusk pożera poparcie własnych koalicjantów (ich notowania od tamtej publikacji zresztą spadły) oraz przejmuje program PiS, gdyż własnego nie posiada. Rusinek nie próbuje udowodnić błędów wywodu, nie stara się pokazać, że rządy Tuska niosą jednak ze sobą coś pozytywnego. Innymi słowy nie wchodzi w dyskusję o tym, czym w istocie jest obecna władza. Czy pozbawiona celu innego niż destrukcja prowadzi nas do tyranii? Rusinek jedynie bawi się słowem, starając się obrócić wszystko w żart.

Ucinanie poważnych dyskusji ironicznym bon motem lub cyniczną uwagą jest kolejną przywarą współczesnej patointeligencji. Opisała to dokładnie Chantal Delsol w wybitnej książce „Nienawiść świata". „Szyderstwa używa się w większości przypadków jako rzekomo niewinnej broni, która w rzeczywistości okazuje się wywrotowym narzędziem niszczącym istniejący porządek. Wiemy dobrze, że osobowości ironiczne niszczą bliskich swoim sarkazmem, nie znosząc przy tym w stosunku do siebie najmniejszej ironii. Podobnie elity, które szydzą ze świętych zasad, twierdząc, że nie ma nic świętego, w rzeczywistości skrycie dążą do sakralizacji czegoś innego" – pisze francuska uczona.

Sarkazm i ironia zdają się chronić Rusinka przed odpowiedzią na poważne pytania. Na przykład czy łatwo było być sekretarzem poetki, która sławiła Stalina tuż po jego śmierci (Oto Partia – ludzkości wzrok./ Oto Partia: siła ludów i sumienie./ Nic nie pójdzie z jego życia w zapomnienie./ Jego Partia rozgarnia mrok) czy domagała się w latach czterdziestych bezwzględnego rozprawienia się z księżmi.

Próżno szukać u Rusinka zmierzenia się z przerażającą prawdą o Szymborskiej, z którą on sam związał swoje losy. Powód jest prosty, to właśnie niegdysiejsza wielbicielka Stalina została przez niego i jemu podobnych podniesiona do rangi świętej. Takich postaci się nie rozlicza, a śmiałków którzy próbują, kwituje się ironią i pogardą.

Rusinek, jako literaturoznawca, pewnie czytał kiedyś wiersz Zbigniewa Herberta „Z mitologii" o tym, że nadmiar ironii i sarkazmu jest bronią barbarzyńców. Drogą do wykpienia wszelkich wartości. Albo o nim zapomniał, albo go nie zrozumiał.

Rzecz jasna dla patointeligencji szyderstwo to bardzo wygodna formuła, gdyż pozwala wyzwolić się z kajdan zaściankowej moralności. Przeszłość, choćby najbardziej haniebna, przestaje mieć znaczenie, gdy można ją obrócić w żart, potraktować z beztroską ironią. Wówczas nie trzeba niczego żałować, z niczym się rozliczać, za nic przepraszać.

Niszczenie demokracji

Wyprana z wartości, wolności myślenia oraz dążenia do prawdy patointeligencja w istocie staje się śmiertelnym zagrożeniem dla demokracji. Głosząc prymat rozumu, w rzeczywistości się od niego odwraca. „Kres oświecenia przejawia się politycznie w zaniku liberalizmu, pod wieloma względami najbardziej atrakcyjnego tworu oświecenia i nośnika największych nadziei z nim związanych. Poprzez wszystkie przemiany i różnicowania liberalnej ideologii towarzyszyły jej zawsze dwie kardynalne cechy: zaangażowanie w sprawę postępu i przekonanie, iż dla liberalnego państwa cnoty obywatelskie są czymś zbędnym. [...] Idea postępu umożliwiła wiarę w to, że w społeczeństwie obdarzonym dobrobytem materialnym zbędna jest aktywna partycypacja obywateli w procesie rządzenia" – pisał ponad trzy dekady temu Christopher Lasch w „Buncie elit".

Czyż nie jest to kwintesencja myślenia polskiej patointeligencji? Czyż nie mówią oni: „Skoro bierzecie 800 plus, to macie siedzieć cicho", „Skoro wasz los się już poprawił kosztem ciężko pracujących, to pozwólcie rządzić mądrzejszym od siebie"?

Ile pogardy na „gorszych", „wschodnich", „biedniejszych" Polaków wylało się po wyborach przegranych przez Rafała Trzaskowskiego, który miał być zbyt elokwentny, elitarny, a nawet za czysty dla motłochu.

Potok tej nienawiści nie wylewał się z ust prymitywnych krzykaczy, ale akademickiej elity, która nawet nie zrozumiała, kiedy zmieniła się w patointeligencję.

POTOK NIENAWIŚCI NIE WYLEWAŁ SIĘ Z UST PRYMITYWNYCH KRZYKACZY, ALE AKADEMICKIEJ ELITY, KTÓRA NAWET NIE ZROZUMIAŁA, KIEDY ZMIENIŁA SIĘ W PATOINTELIGENCJĘ.

eprasa.pl ec52629d92

PORTRET NIEOCZYWISTY

Minister Żurek
i Stowarzyszenie Pieniaczy Polskich

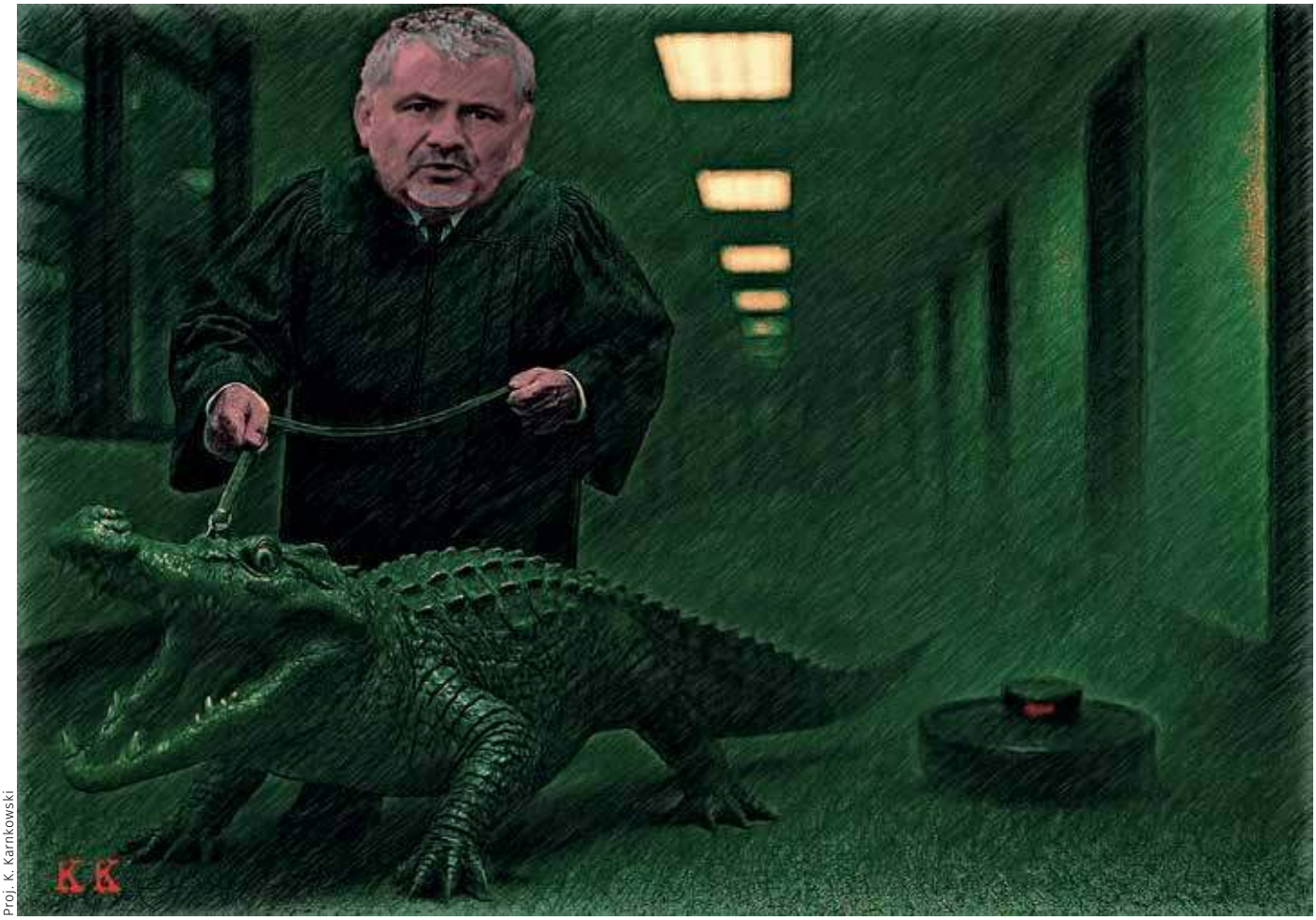

Proj. K. Karnkowski

Gdyby styl uprawiania polityki przekładał się na codzienny sposób życia, Waldemar Żurek byłby jednym z tych sąsiadów, którzy wysyłają do spółdzielni pismo ze skargą, gdy tylko pies zaszczeka na klatce schodowej, a w restauracji wzywają kierownika, gdy danie przyniesiono mu o kilka minut za późno. W języku polskim tego typu osoby nazywamy „pieniaczami" i wystrzegamy się ich jak ognia. Gorzej, gdy taki pieniacz **trzyma w ręce kawałek władzy**, a my jesteśmy zmuszeni wykonywać jego zarządzenia...

Ludwik Pęzioł

Pieniacze mają to do siebie, że często nie przewidują konsekwencji swojego zachowania. Ciągle domagając się czegoś, co (często tylko w ich przekonaniu) się im należy lub jest „obiektywnie słuszne", zrażają do siebie otoczenie, bo przecież nikt nie chce nieustannych napięć i awanturowania się. Widać to choćby po ostatnich posunięciach ministra Waldemara Żurka konfliktującego się ze sporą częścią środowiska prawniczego, które dotąd w większości było „uśmiechniętej"

eprasa.pl ec52629d92

władzy przychylne. Wystarczy jednak rzucić okiem na jego przeszłość, by ta sytuacja przestała nas dziwić.

Nieuleczalny dysydent

Wbrew intuicji Żurek nie pochodzi z liberalnej rodziny modlącej się do Zachodu i postępu. Wręcz przeciwnie: antykomunizm, konserwatywne i katolickie wychowanie oraz prowincjonalne pochodzenie. Nic więc dziwnego, że w latach osiemdziesiątych dołączył do Konfederacji Polski Niepodległej, która w sposób szczególnie zdeterminowany walczyła z ówczesnym reżimem. Dysydenci jednak dzielą się na tych, którzy dostrzegają, że czasy się zmieniły, i na takich, którzy wciąż myślą, jak tu wysadzać pociągi, choć nie należą one już do zaborców czy wojsk wroga. I dokładnie tak było z rządami PiS-u – Waldemar Żurek nostalgicznie powrócił do swej młodości, gdy działał w radykalnej organizacji, z tą różnicą, że za narzucony siłą Polsce reżim radzieckich kolaborantów uznał w swoim myśleniu demokratycznie wybraną władzę.

Miał już pewne narzędzia, by działać w nowym ulicznym „ruchu dysydenckim" – jako rzecznik prasowy Sądu Okręgowego w Krakowie nauczył się specyfiki funkcjonowania mediów, a zadaniem ówczesnych aktywistów sędziowskich i „praworządnościowców" była mobilizacja tzw. społeczeństwa obywatelskiego, do czego potrzebne były zdolności medialnej komunikacji. Pytanie tylko: w jaką postać wcieli się Żurek? I tutaj z pomocą przyszła mentalność pieniacza, który zwykle uważa się za ofiarę otaczających go złych i niekompetentnych ludzi.

W 2017 roku uznał, że nie ma żadnego problemu z połączeniem roli sędziego z politycznym aktywizmem i że w żaden sposób nie kłóci się to z konstytucyjną zasadą niezależności i bezstronności sędziów. Otrzymywał potwierdzenia od innych politycznych pieniaczy w rodzaju Władysława Frasyniuka czy Zbigniewa Hołdysa, że jego działanie jest słuszne... I tak wchodził coraz głębiej w szeregi Stowarzyszenia Pieniaczy Polskich, którego członkowie utwierdzali się w przekonaniu o słuszności swoich działań, choćby powodowały one powszechną irytację społeczeństwa. Jak np. wtedy, gdy Żurek został przyłapany na opuszczaniu Biura Krajowego Platformy Obywatelskiej, co zbytnio z „niezależnością sędziowską" nie licowało. Z kolei po kilku artykułach opublikowanych przez prawicowe media okazało się też, że (poza obcmokiwaniem przez salon i prominentnych polityków Platformy) sędziemu Żurkowi powodzi się całkiem nieźle pod kątem materialnym. W czym, oczywiście, nie ma nic złego – ale do martyrologicznego wizerunku prześladowanego za walkę o demokrację pasuje średnio.

WALDEMAR ŻUREK UZNAŁ, ŻE POŁĄCZENIE ROLI SĘDZIEGO Z POLITYCZNYM AKTYWIZMEM W ŻADEN SPOSÓB NIE KŁÓCI SIĘ TO Z KONSTYTUCYJNĄ ZASADĄ NIEZALEŻNOŚCI I BEZSTRONNOŚCI SĘDZIÓW.

Ta zniewaga awantury wymaga

W 2018 roku Żurek doświadczył kolejnego, nieprawdopodobnie wręcz bezczelnego zamachu na swoje prawa. Otóż – został przeniesiony do innego wydziału sądu. Wtedy właśnie okazało się, że Stowarzyszenie Pieniaczy Polskich jest jedynie filią Stowarzyszenia Pieniaczy Europejskich, które posiada swoje lobby w Trybunale Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Solidarnie z jednym ze swoich braci w prześladowaniach uznano, że mogła tu zostać naruszona zasada praworządności.

Awantura na miarę ogólnoeuropejską do dziś stanowi największe pieniackie osiągnięcie Żurka – osiągnięcie, w którym zasmakował jak w narkotyku. Niestety, drugiego tak mocnego strzału zaliczyć mu się nie udało, choć próbował wytrwale. Były więc dochodzenia o odszkodowanie za starte w wyniku frustracji zęby; były też postępowania dyscyplinarne wszczęte z powodu przewlekłości spraw prowadzonych przez Żurka... Co prawda złe języki donosiły, że sędzia Żurek był po prostu straszliwie leniwy – ale przecież któż dawałby temu wiarę, skoro otaczają go ludzie źli i niekompetentni?

Szykanom nie było końca: słynny „atak" przez maszynę czyszczącą na korytarzu sądowym czy obraźliwe oskarżenia o upolitycznianie szkół, gdy prowadzona była w nich akcja Tour de Konstytucja... Jakby oskarżyciele nie rozumieli doniosłości chwili. A chwilą tą była, rzecz jasna, perspektywa dyktatury, która zawisła nad Polską za rządów PiS. Kolejna awantura (tym razem nieudana) dotyczyła przegranej sprawy o rzekome zarzuty, jakoby sędzia

eprasa.pl ec52629d92

Aleksander Stępkowski miał ugadywać się z rządem w sprawie wyroku dotyczącego zgody Sądu Najwyższego na organizację obchodów Powstania Warszawskiego. Cóż – raz na wozie, raz pod wozem. Naprawdę wielkie chwile miały dopiero nadejść.

Triumf pieniaczy

Donald Tusk, jak każdy przywódca rozległego i pełnego frakcji obozu politycznego, musiał umiejętnie rozgrywać wszystkie rzucające się sobie do gardeł stronnictwa. Gdy wzrosło znaczenie tzw. silniczków, które – domagając się kolejnej daniny z krwi pisowców – zaczęły szemrać przeciwko niewystarczająco radykalnemu premierowi, dla Waldemara Żurka otworzyło się okienko możliwości. W celu uspokojenia radykałów otrzymał jedno z najważniejszych stanowisk w państwie, i to w resorcie siłowym – co było nie tylko osobistym sukcesem, ale także triumfem całego Stowarzyszenia Pieniaczy Polskich. Organizacja zyskała wreszcie „swojego człowieka" na samych szczytach władzy.

Dzięki temu Stowarzyszenie może dziś karmić się kolejnymi awanturami – tym razem prowadzonymi z użyciem wszystkich instrumentów państwowych. A i Tusk coś z tego ma, bo pieniacze odwracają uwagę od fundamentalnych problemów rządu, a samego Żurka, gdy przestanie być użyteczny, zawsze można odsunąć. Powstaje jednak pytanie: czy pieniactwo może funkcjonować jako zinstytucjonalizowany mechanizm działania? Czy biurokratyczne procedury nie odbiorą mu tej antysystemowej iskry, która dostarcza największej radości awanturnikom? A może kolejne szczeble wykonawcze – nawet przy wdrażaniu pieniackich zaleceń – będą wytracać impet, który napędza całe to widowisko? Zbyt wcześnie, by wyrokować.

Tymczasem postępujące osamotnienie Żurka można już dziś dostrzec gołym okiem. Sygnały o potrzebie „zaufanych ludzi" w sądach, otwieranie drogi do upolityczniania wyroków poprzez zawieszanie zasady losowości sędziów, czy jawna niechęć do tych powoływanych po 2015 roku – to wszystko dzieli środowisko prawnicze i wsącza w nie politykę na skalę dotąd niespotykaną. Pieniacka sztywność w dochodzeniu „swego" nie zwraca jednak uwagi na głosy niezadowolenia – podobnie jak awanturujący się w restauracji mężczyzna nie reaguje na szept klientów, by w końcu się przymknął. Zmierzamy więc do sytuacji, w której najtęższa macka Stowarzyszenia Pieniaczy Polskich, jaką jest bez wątpienia minister Waldemar Żurek, uruchomi dobrze znany scenariusz: powolne zniechęcenie do swojej osoby nie tylko postronnych obserwatorów, ale nawet tych, którzy początkowo patrzyli na jego roszczenia z pewną dozą zrozumienia. S

ŻUREK OTRZYMAŁ JEDNO Z NAJWAŻNIEJSZYCH STANOWISK W PAŃSTWIE – CO BYŁO NIE TYLKO OSOBISTYM SUKCESEM, ALE TAKŻE TRIUMFEM CAŁEGO STOWARZYSZENIA PIENIACZY POLSKICH.

CHANDRA MICHALSKI

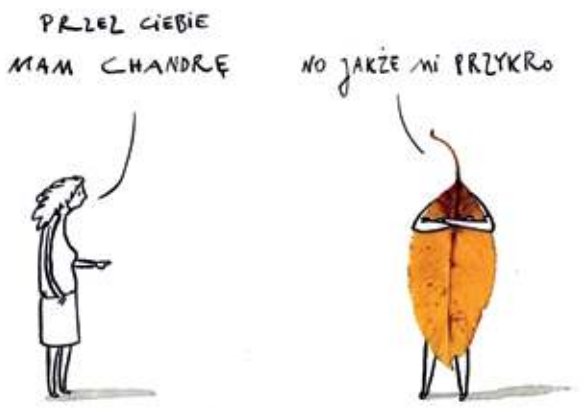

eprasa.pl ec52629d92

STREFA KONTAKTU IGORA ZALEWSKIEGO

Fot. M. Żegliński

JEST MIEJSCE NA CZWARTĄ DROGĘ

– Czy władza po wyborach powiedziała: „Słyszymy wasze żale, bijemy się w piersi, wszystko się zmieni”? Wręcz przeciwnie. Ile tych żółtych kartek można jeszcze dać? Zaraz wyborcy dadzą czerwoną i to taką, że się wszyscy zdziwimy – mówi Łukasz Pawłowski w rozmowie z Igorem Zalewskim.

– Czy polskie firmy badawcze są wiarygodne?

– Przede wszystkim firmy badawcze nie zajmują się polityką. Żyją z marketingu i z prywatnego biznesu, to jest jakieś 95% ich działalności. Polityka to jedynie wierzchołek góry lodowej, który jest widoczny. Reszta to biznes. Ale zaletą sondaży politycznych jest to, że da się je zweryfikować. I są nawet bardzo duże firmy badawcze, które zrezygnowały z badań politycznych, bo się bardzo rozjeżdżały z wynikami, co niszczyło ich wiarygodność.

My, OGB, korzystamy na tym, że da się to zweryfikować. Dla nas jedyną możliwością wybicia się w tym światku było pilnowanie jakości. I nieskromnie powiem, że jesteśmy wiarygodni.

– Zatem jak wygląda wiarygodność całej branży?

– Jest coraz gorsza, bo coraz gorsza jest jakość badań. Badania, które mają jakość, w tym przypadku badania telefonicz-

eprasa.pl ec52629d92

ne, są coraz droższe. Czyli badania CATI, telefoniczne, stają się dobrem luksusowym, a jedynie te badania są wiarygodne. Są też panele internetowe – ktoś się do takiego panelu zgłasza, dostaje punkty czy pieniądze i odpowiada na pytania. Ale jak popatrzymy na to, kto tam jest, to nie jest to przekrój społeczeństwa. Nie ma tam np. osób starszych, po sześćdziesiątce. Nie ma tam ludzi, którzy lepiej zarabiają. Takie panele nie są reprezentatywne.

I teraz przechodzimy do najważniejszego punktu. Polskie media, mając do wyboru drogo i dokładnie albo tanio i mniej dokładnie, wybierają oczywiście to drugie. Ale ta różnica jakościowa zaczyna się robić tak duża, że to staje się widoczne. Jednak dwa tygodnie po wyborach media znowu mają wybór – zapłacić więcej, ale żeby była w tym jakość, albo zapłacić mniej i żeby była klikalność. Wszystko się kręci wokół pieniędzy.

– Nie widzi Pan politycznego ukierunkowania sondaży?

– Nie wierzę, żeby ktoś siedział i mówił: oni plus dwa, a oni minus dwa. Wierzę natomiast, że wszystko się dzieje środowiskowo, czyli liberalne media wolą sondaże, które zawyżają partie liberalne, bo się lepiej z tym czują, a prawicowe media wolą prawicowe sondaże, bo się lepiej z tym czują. I to się tak kręci. Karmimy debatę publiczną totalnym syfem.

– Czyli to są śmieciowe sondaże?

– Dokładnie, śmieciowe sondaże, bo są prawie za darmo. Prawie codziennie pojawiają się sondaże na jakiś temat, później o nich rozmawiają publicyści, a to w znakomitej większości są sondaże internetowe, czyli śmieciowe.

– Dlaczego OGB robi dokładne sondaże?

– Wszyscy właśnie o to pytają, a ja odpowiadam, że nie robimy nic szczególnego. Po prostu robimy wszystko od A do Z, pilnując poszczególnych procesów. I ścigamy się sami ze sobą, żeby było jak najdokładniej, bo to dla nas jedyna ścieżka. Jestem chłopakiem z Bolesławca, nie pracowałem nigdy w branży badawczej, więc dokładność jest dla mnie jedyną drogą do osiągnięcia sukcesu.

– Jak się ją osiąga?

– Po każdych wyborach analizujemy, co można zrobić, żeby sondaż przedwyborczy był lepszy. Porównujemy twarde dane z PKW z sondażem i myślimy, co i jak można poprawić. Czy można zadać to pytanie inaczej, czy można wyciągnąć było inne wnioski. Bo pamiętajmy, że każdy nasz sondaż to kilka pytań: czy pójdziesz na wybory; na ile te wybory są dla ciebie ważne; czy dużo zmienią w twoim życiu. Zawsze mamy wiele danych, które wpływają na odpowiedzi. Np. część elektoratu danej partii odpowiada na jedno z tych pytań w konkretny sposób i potem wynik tej partii jest wyższy albo niższy niż sondażowy. I w ten sposób po każdych wyborach wyciągamy wnioski. Najwięcej wniosków wyciągnęliśmy po wyborach do europarlamentu w 2019 roku, kiedy to strasznie się pomyliliśmy. To było nasze pierwsze badanie ogólnopolskie i strasznie się rozjechaliśmy – prognozowaliśmy, że wygra Koalicja Europejska, a wygrało PiS. Po tym wprowadziliśmy jakieś 40 zmian w sposobie przeprowadzania i interpretacji sondaży. I tak z wyborów na wybory robiliśmy kolejne poprawki. Ale trzeba było w to zainwestować dużo czasu i pieniędzy.

– Czy na Waszej wiarygodności zbudowanej podczas wyborów zarabiacie gdzieś indziej?

– Oczywiście. Teraz OGB kojarzy się jako najbardziej wiarygodna pracownia, posługujemy się też hasłem, że jesteśmy najczęściej nagradzani, bo to też prawda. Ostatnio na rozdaniu nagród Pytii jeden z badaczy miał do nas pretensje, że podajemy wartości do dwóch po przecinku, że to demagogia i że nie da się tak dokładnie. A odbierałem wtedy nagrodę za wiarygodność. Żartobliwie mówię, że my się ścigamy z PKW, oczywiście tej walki nie wygramy, ale właśnie PKW podaje dwie wartości po przecinku. Uważam, że to podejście jest gwarantem sukcesu, co widać po nas. Gdyby nie dokładność, nikt by o nas nie usłyszał.

Jest ogromne zapotrzebowanie na nowość po stronie liberalnej, bo Donald Tusk jest rekordowo niepopularny.

– Co jakiś czas pojawiają się informacje o tajnych sondażach partyjnych. To jest mit czy faktycznie takie sondaże istnieją? I czy rzeczywiście są dokładniejsze od tych powszechnie znanych?

– Są lepsze jakościowo. Partie nie zamawiają sondaży internetowych, co też dużo mówi o mediach. Partie są gotowe się wykosztować, bo muszą mieć kontakt z rzeczywistością. Tam się po prostu kładzie nacisk na jakość. A w mediach się na to nie patrzy.

– Przenieśmy się na chwilę z Polski do USA. Stany też mają problem z wiarygodnością sondaży, a tam nie chodzi chyba o pieniądze.

eprasa.pl ec52629d92

– W Polsce badania są dużo prostsze niż w Stanach. Jak sobie popatrzymy na demografię, to dzielimy się z grubsza tak: inaczej głosują kobiety – inaczej mężczyźni; inaczej starsi – inaczej młodsi; wiele zależy też od wykształcenia. A tam jest więcej czynników. Pochodzenie, rasa, stan, a nawet dzielą się w tych podgrupach. Latynosi z Meksyku chętniej głosują na Demokratów, a Latynosi z Kuby bardziej na Donalda Trumpa.

Co ciekawe, nie byłoby tak dużo błędnych sondaży, w Stanach i w Polsce, gdyby nie polaryzacja. Bo gdyby wszystko było rozłożone równomiernie, to nie miałoby znaczenia, czy w badaniu jest więcej miasta czy wsi, bo i tak głosują podobnie. A jeżeli mamy duże przeskoki, to te proporcje zaczynają mieć wielkie znaczenie. Kolejny problem w tworzeniu tej mozaiki to frekwencja. Jeżeli w sondażu 90% mówi, że pójdzie na wybory, a idzie 60–70%, to to staje się problemem. I całą sztuką jest ustalenie, które grupy tworzą te 70%.

Polskie media, mając do wyboru drogo i dokładnie albo tanio i mniej dokładnie, wybierają oczywiście to drugie.

– Gdy teraz robicie badania, to jaki obraz sceny politycznej po wyborach się wyłania?

– Po pierwsze przy analizowaniu polskiej polityki trzeba ją rozdzielać na dwie części – liberalną i konserwatywną. Nie ma jednej puli, o którą rywalizują partie.

– I to jest już rozcięte na amen?

– Od długiego czasu już tak i nie wygląda na to, żeby to się miało zmienić. Obecnie „większą połówkę" ma prawica. Ale jest to zawsze przewaga około 5%. Walka toczy się o ten drobny kawałek. Te wszystkie scenariusze o totalnym zwycięstwie prawicy, większości konstytucyjnej są absolutnie nierealne. Ta druga połówka jest zdominowana przez KO, a Donald Tusk jest coraz mniej popularny, więc pojawia się pokusa wejścia w tę lukę. Jest czas na jakąś Czwartą Drogę, Hołownię 2.0. W połówce prawicowej ta rywalizacja jest bardziej zacięta. Tu potencjał na powstanie nowej partii jest jeszcze mniejszy. Fenomenem jest i tak wynik Grzegorza Brauna. Jego partia ma w sondażach 5–6%. W zasadzie partia z niczego.

– A jak Pan tłumaczy ten fenomen? Antyukrainizmem?

– Uważam, że jest to dużo szersze. Karolowi Nawrockiemu wybory wygrał oddolny ruch społeczny, pewien bunt ludowy przeciwko elitom, a wyborcy Brauna to radykalna część tego buntu. Głównym motorem tych ludzi jest zmęczenie elitą, tym, że nic się nie zmienia.

– To oni wrzucają też Konfederację do tego establishmentu?

– Wychodzi na to, że już tak. Piwo z Rafałem Trzaskowskim było dla nich znaczące. Te emocje są antyelitarne i będą coraz większe. I moim zdaniem Braun będzie rosnąć. Bo ludzie poszli na wybory, wygrał Nawrocki i w zasadzie nic się nie zmieniło.

– Ale Nawrocki jest bardzo popularny i jest innym prezydentem niż poprzednicy.

– Czy władza po wyborach powiedziała: „Słyszymy wasze żale, bijemy się w piersi, wszystko się zmieni"? Wręcz przeciwnie. Ile tych żółtych kartek można jeszcze dać? Zaraz wyborcy dadzą czerwoną i to taką, że się wszyscy zdziwimy. Zwykle po przegranych wyborach lider przegranej partii rezygnuje. Ale w Polsce nie ma takiej kultury. Ludzie chodzą na wybory, mamy rekordowe frekwencje, ludzie decydują, a polityka się nie zmienia. Zajmowanie spółek Skarbu Państwa, zawłaszczanie państwa, mediów publicznych – taka polityka prowadzona jest od 20 lat. Za każdym razem ta żółta kartka jest, ale nic się nie zmienia. I ci, którzy się tym zniecierpliwili najbardziej, to wyborcy Brauna.

Jest bardzo silna emocja w Polakach: chciałbym, żeby moim dzieciom żyło się lepiej.

– Piotr Ikonowicz w latach 90. mówił, że niezależnie jak głosują ludzie, z urny i tak wyskakuje Leszek Balcerowicz. Ludzie się zmieniają, a polityka zostaje taka sama.

– Dokładnie. I to jest też doświadczenie ogólnoświatowe. Z czego biorą się te ruchy alt? Jak AfD, jak Reform UK, jak Trump. Ludzie doszli do wniosku, że bez znaczenia, czy wygrywa prawica czy lewica, polityka zostaje taka sama. Różnice między partiami mainstreamowymi stały się tak małe, że ludzie nie zauważali różnic między nimi. Stworzyli więc sobie alternatywny podział. Starzy – nowi, es-

eprasa.pl ec52629d92

tablishment – alternatywy. Polska nie jest tu wyjątkiem, chociaż dzieje się to trochę później. Bo PiS wpisało się w ten podział na lokalnych warunkach: stanęło na czele Polski B przeciw Polsce A. Szczególnie od 2015 roku dało godność Polsce powiatowej. I na tej fali wygrywało. Ale powoli samo zaczęło stawać się establishmentem.

– Pojawiły się takie głosy po wyborach, że polaryzacja słabnie. Pan się zgadza z tą tezą?

– Tak, z tym wyjątkiem, że ona odżyła, moim zdaniem na krótko, wraz z Nawrockim. Skupiliśmy się znowu na ping-pongu Nawrocki – Tusk. Ale ten spór nadal jest pusty.

Ostatecznie ludzi najbardziej interesuje, jak będzie im się żyć. Wygrywa sytuacja gospodarcza. Np. suwerenność jest czymś bardziej abstrakcyjnym. Ale już nie ma podziału na Polskę Liberalną i Polskę Solidarną. Te partie już to zgubiły. 500+ wygrało, ale PiS nie odnalazło się w nowej sytuacji. I dlatego przegrało w 2023 r., bo ciągle atakowało Tuska, nie prezentując wizji pozytywnej, co wcześniej było jego atutem.

Ale teraz najtrudniejsze – co się z tego urodzi w przyszłości. Jest ogromne zapotrzebowanie na nowość po stronie liberalnej, bo Tusk jest rekordowo niepopularny. A z drugiej strony absolutnie zdominował swoich partnerów, bo ci partnerzy są jeszcze gorsi. Każdy z nich stracił wiarygodność, nie ma sprawczości, bo Tusk na nic nie pozwala. Ich nie ma. Coś się musi pojawić, byłoby absurdalne, gdyby się nie pojawiło.

– A same zmiany w Platformie to za mało? Mówi się o Radosławie Sikorskim...

– Ludzie potrzebują zmiany pokoleniowej, potrzebują głosu antyestablishmentowego i czegoś niezwiązanego z żadną władzą. Żadna z tych rzeczy nie pasuje do Sikorskiego. On jest bliski wiekowo Tuskowi, zdecydowanie jest z establishmentu. Ma pałac, studiował na Oxfordzie. To by była pozorna zmiana. I Tusk o tym wie. Moim zdaniem te przecieki to tylko próba uspokojenia nastrojów. Nie wierzę, że Tusk chce oddać władzę. Problem Platformy Obywatelskiej polega na tym, że tam nie ma nikogo innego. Jest gigantyczna różnica między 40-latkami w PiS-ie a w PO. Usłyszałem, że Cezary Tomczyk miałby zastąpić Tuska i strasznie się uśmiałem.

– A poza Platformą? Widzi Pan kogoś, kto mógłby nadawać się na tę Czwartą Drogę?

– Gdybym dostał takie pytanie o Hołownię przed wyborami 2020 r., to bym odpowiedział, że absolutnie się nie nadaje. Nikt się go nie spodziewał, ja też nie. Ale w pierwszym naszym sondażu miał 10%. Ta potrzeba czegoś nowego jest silna. Tego nazwiska nie jestem w stanie powiedzieć. Charakterologicznie: musi mieć czterdzieści parę lat; musi mieć success story, być związany z biznesem, być szanowany...

– Na koniec, gdyby mógł Pan wskazać jedną rzecz na temat Polaków, z której nie zdajemy sobie sprawy.

– Jedną z ważniejszych decyzji było referendum nad wejściem do UE. Wielu się obawiało, że Liga Polskich Rodzin przestraszy starszych wyborców i może się nie udać. Okazało się, że to nie była prawda. I postanowiono zrobić badania, dlaczego. I te starsze panie, wpatrzone w o. Tadeusza Rydzyka, mówiły coś takiego: „Może ja nie skorzystam na tej Unii, ale moje dzieci tak". Jest bardzo silna emocja w Polakach: chciałbym, żeby moim dzieciom żyło się lepiej. A polaryzacja trzyma się głównie na starszym pokoleniu. Zatem ten, komu uda się dotrzeć do tego starszego pokolenia, z hasłami: „Dajcie nam szansę, czas na zmianę pokoleniową, niekoniecznie może zagłosujecie we własnym interesie, ale dla swoich dzieci i wnuków", może odnieść wielki sukces.

Łukasz Pawłowski
jest prezesem Ogólnopolskiej Grupy Badawczej – najczęściej nagradzanej firmy badawczej w Polsce, m.in. przez Uniwersytet Jagielloński (trzykrotnie Złoty Puchar Pytii). Od kilku lat OGB najdokładniej przewiduje wyniki kolejnych wyborów.

eprasa.pl ec52629d92

ZEKS jest sexy

– Nie bójcie się standardów. One nie są przeciwko wam, one są po to, żeby ułatwić rządzenie. Bo jeśli prawa pracownicze są jasne, przewidywalne i chronione międzynarodowo, to mniej mamy konfliktów społecznych, mniej protestów, mniej niepewności na rynku pracy. Ratyfikacja Zrewidowanej Europejskiej Karty Społecznej (ZEKS) to nie jest gest wobec związków zawodowych, to akt odpowiedzialności państwa wobec obywateli – mówi **Maciej Kłosiński** w rozmowie z **Anną Kwiatkowską**.

Rys. Adobe Stock

eprasa.pl ec52629d92

– Czym tak naprawdę różni się wersja „zrewidowana" Europejskiej Karty Społecznej od wcześniejszej? Czy to tylko kosmetyka, czy rzeczywiście znacząca zmiana dla świata pracy?

– To nie jest żadna kosmetyka. Zrewidowana Europejska Karta Społeczna to dokument, który odpowiada na realia XXI wieku – nie tylko chroni podstawowe prawa pracownicze, ale też rozwija te obszary, które w latach 60. XX w. w ogóle nie były jeszcze problemem. Mamy dziś inne wyzwania: niestabilność zatrudnienia, wyzysk pod płaszczykiem umów cywilnoprawnych, presję na czas pracy. ZEKS to odpowiedź na te kwestie. Przewiduje na przykład wyraźniejsze gwarancje dotyczące czasu odpoczynku, prawa do godziwego wynagrodzenia czy udziału związków zawodowych w podejmowaniu decyzji. To są konkretne zapisy potrzebne w Polsce.

– Krytycy twierdzą, że Polska nie ma środków na tak szerokie zobowiązania.

– Takie głosy się pojawiają, ale są – moim zdaniem – przesadzone. Przede wszystkim nie chodzi o to, żeby wprowadzać wszystko naraz. Ratyfikacja Zrewidowanej Karty Społecznej nie oznacza, że następnego dnia trzeba wydać miliardy. To jest proces. Po drugie, te prawa to nie fanaberie, to inwestycje w spójność społeczną, zdrowie publiczne, bezpieczeństwo pracy. Rząd, który twierdzi, że go na to nie stać, powinien się zastanowić, ile kosztuje chaos społeczny, protesty i brak stabilności. A poza tym wiele z tych zobowiązań i tak już mamy zapisanych w ustawach, tylko nie są egzekwowane. ZEKS mogłaby to uporządkować.

– Co Pana zdaniem najbardziej by się zmieniło w życiu polskich pracowników, gdyby ZEKS została ratyfikowana?

– Ratyfikacja Zrewidowanej Europejskiej Karty Społecznej to nie tylko zmiana legislacyjna – to sygnał, jak państwo traktuje prawa człowieka. Pokaże, czy prawa społeczne są naprawdę priorytetem, czy tylko sloganem. A dziś mamy duże opóźnienie – Polska nie ratyfikowała licznych konwencji Międzynarodowej Organizacji Pracy. Brak ratyfikacji fundamentalnych konwencji dotyczących BHP świadczy o systemowym niedocenianiu międzynarodowego prawa pracy.

Ratyfikacja ZEKS przyniosłaby również wymiar symboliczny – pokazałaby, że prawa społeczne mają być fundamentem polityki pracy, że dialog społeczny i traktowanie pracownika jako podmiotu, a nie zasobu, to realna zmiana sposobu działania państwa.

– Część państw europejskich przyjęła ZEKS wiele lat temu. Czy mamy przykłady, jak wyglądało to w praktyce?

– Tak, mamy konkretne przykłady, wystarczy spojrzeć na Hiszpanię, Francję czy Włochy. Te państwa traktują Karty Społeczne jako element realnej polityki, a nie pusty gest. Gdy Europejski Komitet Praw Społecznych wydaje wobec nich zalecenia, to one faktycznie analizują, co trzeba poprawić w przepisach. We Francji doszło nawet do zmian ustawowych po skargach zbiorowych, np. w sprawach prawa do lokalu socjalnego czy równego traktowania kobiet w zatrudnieniu. Z kolei w Skandynawii ZEKS wzmacnia pozycję układów zbiorowych jako głównego narzędzia regulacji pracy.

Czego możemy się nauczyć? Że silna ochrona praw społecznych nie prowadzi do katastrofy gospodarczej. Wręcz przeciwnie – daje stabilność społeczną i przewidywalność, co sprzyja rozwojowi.

– Gdyby mógł Pan dziś przekazać jeden apel do rządzących w sprawie ZEKS, co by to było?

– Nie bójcie się standardów. One nie są przeciwko wam, one są po to, żeby ułatwić rządzenie. Bo jeśli prawa pracownicze są jasne, przewidywalne i chronione międzynarodowo, to mniej mamy konfliktów społecznych, mniej protestów, mniej niepewności na rynku pracy. Ratyfikacja ZEKS to nie jest gest wobec związków zawodowych, to akt odpowiedzialności państwa wobec obywateli.

– Czy ratyfikacja Karty to koniec drogi, czy raczej początek?

– To zdecydowanie początek. Ratyfikacja to zobowiązanie i dla rządu, i dla partnerów społecznych. Po stronie państwa konieczna będzie weryfikacja, ›

16 WRZEŚNIA 2025 R. PREZYDIUM KOMISJI KRAJOWEJ NSZZ „SOLIDARNOŚĆ" PRZYJĘŁO DWA WAŻNE STANOWISKA DOTYCZĄCE MIEJSCA POLSKI W EUROPEJSKIM SYSTEMIE OCHRONY PRAW SPOŁECZNYCH I PRACOWNICZYCH.

eprasa.pl ec52629d92

które przepisy wymagają dostosowania: np. prawo pracy, zabezpieczenie społeczne, polityka mieszkaniowa. Ale równie ważna będzie praktyka egzekwowania tych praw, czyli inspekcja pracy, sądy, mediacje.

Po stronie partnerów społecznych to też wyzwanie. Musimy się przygotować do tego, żeby realnie uczestniczyć w monitorowaniu wdrażania Karty. To oznacza nie tylko krytykę, ale i propozycję. ZEKS daje silne podstawy, żeby domagać się układów zbiorowych, ochrony praw związkowych, ale też uczestniczyć w politykach publicznych, np. ochrony zdrowia czy rynku pracy.

***

Zrewidowana Europejska Karta Społeczna i skarga zbiorowa. Czas na decyzję Polski

16 września 2025 r. Prezydium Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność" przyjęło dwa ważne stanowiska dotyczące miejsca Polski w europejskim systemie ochrony praw społecznych i pracowniczych.

Oba dokumenty – nr 4/25 oraz nr 5/25 – stanowią wyraźny apel do rządu o nadrobienie wieloletnich zaniedbań.

„Jesteśmy poza głównym nurtem europejskich standardów społecznych"

Stanowisko nr 4/25 dotyczy ratyfikacji Zrewidowanej Europejskiej Karty Społecznej (ZEKS). Prezydium podkreśla, że Polska od ponad dwóch dekad pozostaje poza głównym nurtem europejskich standardów społecznych. Ratyfikacja ZEKS nie powinna być traktowana jako „odhaczenie" minimalnych zobowiązań, lecz jako impuls do szerszej debaty o obowiązkach państwa wobec praw socjalnych równie ważnych jak prawa polityczne i obywatelskie.

Dokument wskazuje trzy priorytetowe obszary: realne prawo do bezpiecznych warunków pracy, także przy zatrudnieniu niepracowniczym, wzmocnienie prawa do podnoszenia kwalifikacji w obliczu zmian technologicznych oraz uznanie godziwego wynagrodzenia za filar porządku społecznego i prawnego.

„Mechanizm pozwalający dochodzić praw społecznych"

Stanowisko nr 5/25 wzywa natomiast do ratyfikacji Protokołu Dodatkowego do Europejskiej Karty Społecznej w sprawie skargi zbiorowej. To mechanizm pozwalający związkom zawodowym i innym organizacjom dochodzić praw społecznych w procedurze quasi-sądowej, szczególnie w sytuacjach systemowych naruszeń, gdy krajowe środki ochrony są niewystarczające. Prezydium przypomina, że Polska pozostaje niemal całkowicie poza międzynarodowym systemem skargowym dotyczącym praw człowieka, co godzi zarówno w interesy pracowników, jak i w konstytucyjną zasadę dialogu społecznego (art. 20). Ratyfikacja protokołu – podkreślono – nie ogranicza suwerenności państwa, lecz wzmacnia przejrzystość, standardy polityki społecznej i pozycję Polski w Europie.

Oba stanowiska pokazują jednoznacznie: czas na odważne decyzje. Ratyfikacje ZEKS i protokołu o skardze zbiorowej nie są kwestią formalności, lecz wyrazem poważnego traktowania praw pracowniczych, konstytucyjnych zasad dialogu i miejsca Polski w europejskiej wspólnocie wartości.

Maciej Kłosiński – zastępca przewodniczącego Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność".

RATYFIKACJA ZREWIDOWANEJ EUROPEJSKIEJ KARTY SPOŁECZNEJ TO NIE TYLKO ZMIANA LEGISLACYJNA – TO SYGNAŁ, JAK PAŃSTWO TRAKTUJE PRAWA CZŁOWIEKA.

Co Polska zrobiła, a czego nie?

- Polska ratyfikowała Europejską Kartę Społeczną (EKS) w wersji z 1961 roku (w 1997 roku).
- Nie ratyfikowała zrewidowanej wersji z 1996 roku (ZEKS), która zawiera bardziej szczegółowe i nowoczesne zobowiązania.
- Nie przyjęła Protokołu o systemie skarg zbiorowych (1995 rok), który umożliwia składanie skarg przez organizacje związkowe do Europejskiego Komitetu Praw Społecznych.

Przykład: EKS nie zapewnia dziś w Polsce pełnej ochrony przed wypowiedzeniem ani nie gwarantuje realnego prawa do negocjacji zbiorowych – a ZEKS te prawa wzmacnia.

eprasa.pl ec52629d92

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Monika Małkowska

Jaki piękny eskapizm

Był czas, kiedy artyści współtworzyli z wraz z podziemną opozycją antyrządowy front w naszym pięknym kraju, choć wtedy pogrążonym w Jaruzelskich mrokach. W niejednym przypadku przybierało to groteskowe formy – ot, na przykład wtedy, kiedy zdeklarowane niedowiarki na wyprzódki rwały na Mszę Świętą lub gdy jak na komendę awangardowi twórcy sztuk wizualnych zaczynali wpadać w tonacje filozoficzno-religijne. Nagle w miejsce wariacji wokół konceptualnych powszechników pojawiały się malarskie wykwity o Drodze Krzyżowej, Piecie, Zmartwychwstaniu... W duszpasterstwie środowisk twórczych, w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej, i w innych nieobjętych bojkotem przybytkach kultury bądź religijnego kultu zbierało się bractwo odziane w swetry szetlandy – nie tyle trend modowy, co dopust handlowy – by uwznioślać się słowem lub śpiewem wzmagającym patriotyzm, na pohybel czerwonym! Był to też czas prawdziwej solidarności z potrzebującymi – a do takich należała spora część społeczeństwa, czy to z racji politycznej niesubordynacji, czy z powodu finansowych niedoborów lub w wyniku ogólnonarodowej gospodarczej zapaści. Do zrzuty dla tych w biedzie nie trzeba było długo namawiać – artyści wyrywali spod serc najlepsze prace, by przyniosły na charytatywnych aukcjach jak największy zysk. Oczywiście, honorowo zrzekali się jakichkolwiek udziałów, byle tylko jak najwięcej kasy trafiło do tych w dole. Zryw, który udzielał się – bo to środowisko zawsze funkcjonowało stadnie. Jak kolega daje na aukcję, to ja też. Jak on nie szczypie się z rzuceniem swoich masterpieces, to ja dam jeszcze lepsze. Aż przyszło otrzeźwienie. Okazało się, że najwięcej zgarnęli macherzy, którzy odłożyli sobie najsmaczniejsze kąski na przyszłość, która nadeszła... za kilka lat. Wystarczyło mieć cierpliwość i suchą piwnicę. Po tych doświadczeniach, po ustrojowym przełomie, kiedy stało się jasne, że ktoś zarobił na naiwności, hojności i poczuciu solidarności artystów, oni, twórcy, też zhardzieli. Niektórzy pożałowali swojego szerokiego gestu sprzed kilkudziesięciu lat.

Niemiłe było to, że w III RP nikt nie miał pomysłu, jak tych „szerokogestnych" zagospodarować. „Państwu już dziękujemy" – słyszeli z tyłu głowy. Aż wjechał Tusk na białym koniu, oferując tym rozczarowanym jakieś wziątka, granty, stypendia. Kto by się oparł? Przecież nie ci, którzy pod wpływem emocjonalnego impulsu oraz ogólnopolskiej aury troszkę zaszaleli z rozdawnictwem swojej krwawicy.

Patrzę teraz na tych starych i tych nowych reprezentantów tzw. osób artystycznych – do nich życiowe problemy konfratrów z tego samego kraju nie mają dostępu. Niech się kiszą w swym kwaśnym sosie, my teraz do przodu, „dla nas diabeł, dla nas raj", by sparafrazować naszą gwiazdę tekstów Agnieszkę O. Patrzę na was, Marysie, Zosie, Franki, Jacki – nie stać was już na jakikolwiek gest solidarności. Nie chodzi o dawstwo. Już nie trzeba – a może tym bardziej trzeba. Uciekliście w granty, realizując według wytycznych politykę, nie człowieczeństwo. Czy artystyczny eskapizm może zaiskrzyć za jakiś czas, za lata? Wieczni naiwniacy, ufajcie.

eprasa.pl ec52629d92

Nowa moda na samozbiory

Rolnicy to pierwsza grupa społeczna, która **wymknęła się** obecnemu rządowi spod kontroli – również fiskalnej, jeżeli przyjrzeć się, do jakich działań zmusiła ich nieudolność – a może celowy brak staranności – rządzących. Z biznesowego punktu widzenia okazali się przedsiębiorcami, którzy przegrali z wielkimi, europejskimi grupami handlowymi, bo musieli walczyć na rynku, gdzie efekt skali okazał się najważniejszym kryterium sukcesu, a nierzadko przetrwania.

Paweł Pietkun

Prosta decyzja o nieniszczeniu własnej produkcji, czyli niewyrzucaniu żywności, okazała się momentem, który pokazał rolnikom, że o swoje można walczyć inaczej. Ukazała również, że premier jest nagi, niczym cesarz w sławnej baśni Hansa Christiana Andersena.

Papryka do wzięcia

Kiedy na początku października Tomasz Jachacz z Zemborzyc Wojciechowskich koło Lublina wezwał w serwisach społecznościowych ludzi do zebrania papryki z trzyhektarowego pola i zabrania tyle, ile będą w stanie unieść, po to, żeby owoce jego pracy się nie zmarnowały, natychmiast stał się gwiazdą internetu. Na polu pojawiły się prawdziwe tłumy – bywało, że ludzie przyjeżdżali z drugiego krańca Polski. I rzeczywiście zrywali, ile mogli – ale nie zabierali za darmo. Uczciwie płacili po dwa złote za kilogram, co dla rolnika było strzałem w dziesiątkę. Oto nie spełnił się koszmar, który przeżywał już od końca lata – że albo dopłaci do produkcji, albo zostawi wszystko na polu, a całość zgnije. Kluczowa była

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl ec52629d92

cena – o dwa złote, które były kwotą znacznie większą niż w skupie, gdzie płaciliby mu 1,5 zł za kilogram, ale pod warunkiem, że przywiezie paprykę wydrążoną, pokrojoną i umytą (to kolejne koszty do produkcji). Przyjezdni brali w całości – warunek był jeden: zbiorą ją sobie sami. Materiał z panem Tomaszem ukazał się niemal w każdej stacji telewizyjnej w Polsce, a już kilka dni później pojawiły się kolejne informacje i ogłoszenia. Ktoś na Mazowszu na podobnej zasadzie sprzedawał dynie, rolnicy z Małopolski proponowali zebranie jabłek, a inni – w jeszcze innej części kraju – oferowali pomidory czy borówki. Nie wszyscy pisali o cenie – niektórzy prosili, żeby odbiorcy zapłacili im tyle, ile uważają, że powinni. I Polacy płacili tyle, ile mogli – zakupy w nawet najtańszym hipermarkecie i tak byłyby średnio pięciokrotnie droższe. Polskę ogarnęło prawdziwe szaleństwo samozbiorów, a rolnicy głośno zaczęli opowiadać o nieuczciwych zasadach, które stosują wobec nich wszystkie skupy płodów rolnych w Polsce.

Zrobieni w skup

Skupy w UE działały w ten sam sposób od zawsze. To transeuropejskie firmy należące najczęściej do największych sieci supermarketów lub powiązane z nimi kapitałowo, które skupują płody rolne w całej Unii Europejskiej i dopiero na podstawie cen uzyskanych od rolników z Hiszpanii, Francji, Niemiec, Włoch czy krajów bałkańskich szacują, za ile są w stanie skupować podobne warzywa w Polsce. Stosują tu prawa popytu i podaży. Cena warzyw jest więc wypadkową ilości wyprodukowanego towaru i zainteresowania kupujących. Co innego same hipermarkety – te już ustalają ceny według wielu zmiennych, w tym m.in. cen u konkurencji oraz ogólnej (wciąż niskiej w Polsce na tle całej Unii Europejskiej) zamożności konsumentów. Stąd tak rażące różnice w cenach.

To, że nie ma tych różnic w innych krajach wspólnoty, wynika z wewnętrznych polityk poszczególnych rządów, które są nastawione na ochronę własnego rolnictwa, więc stosują albo odpowiednio duże dopłaty, albo administracyjnie dbają o to, żeby ceny nie były rażąco niskie, co czyni produkcję rolną zupełnie nieopłacalną. Polski rząd zupełnie to zaniedbał.

Ministerstwo rolnictwa zauważyło problem dopiero wtedy, kiedy stał się głośny i kiedy rząd zorientował się, że lekceważąc rolników, wypchnął jedną z największych grup podatników zupełnie poza system podatkowy. Dlaczego?

Darowizna za darowiznę

Rolnicy szybko zorientowali się, że organizowane przez nich samozbiory są niemierzalną darowizną.

Wpuszczając na pole klientów, którzy mogą zebrać „tyle, ile udźwigną", organizują darowiznę, w której trudno jest wyliczyć kilogram zebranych owoców, a jeszcze trudniej go wycenić. Co więcej – ich klienci, płacąc im „co łaska" w systemie podatkowym również byli definiowalni jako darczyńcy, jednak przy tak niskich kwotach zwolnieni z obowiązku raportowania takich „darowizn" do urzędów skarbowych. W ten sposób do Polski wróciła gospodarka drugiego obiegu, którą starsi z naszych czytelników z pewnością pamiętają z początku lat 90.

eprasa.pl ec52629d92

XX wieku, kiedy na ulicach i placach polskich miast jak grzyby po deszczu rosły targowiska albo małe straganiki, w których przyciśnięci reformą Balcerowicza Polacy sprzedawali mydło i powidło.

Eksperci niemal natychmiast zauważyli, że samozbiory stają się symbolem kryzysu w rolnictwie. To z jednej strony sposób rolników na ograniczenie strat i dotarcie do konsumentów z pominięciem narzucających wysokie marże skupów i sieci hipermarketów, z drugiej narzędzie, które – jeśli wymknie się fiskusowi spod kontroli – trudno będzie ujarzmić jeszcze przez lata.

Zaniepokojone skalą zjawiska Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi skierowało pismo do prezesa Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów z żądaniem, aby Urząd sprawdził, czy na rynkach rolnych nie dochodzi do zmów cenowych, które powodują, że ceny płodów rolnych są w tym roku tak niskie. UOKiK bada sprawę, ale mało prawdopodobne jest, aby w tym roku coś wykrył – podobne skargi i sygnały pojawiały się nad Wisłą już nieraz. Rolnicy mówili o problemach głośno w internecie, w programach telewizyjnych oraz na nierzadkich w ostatnich latach protestach. Efekt? Jak na razie wszystko było w porządku – dopóki pomysł na organizowanie samozbiorów naprawdę nie zagroził rządowi utratą kontroli nad wpływami podatkowymi z handlu.

Giełdy zastępują rząd

Nawet jeżeli tym razem UOKiK, na życzenie ministra rolnictwa, wykryje nieprawidłowości, od ewentualnych kar firmy zajmujące się skupami będą mogły się odwołać do sądów, gdzie z pewnością wykażą, że ustalały ceny zgodnie z prawami popytu i podaży, trudna sytuacja rolnictwa wynika zaś w równej mierze z nadprodukcji rolnej w skali całej Unii Europejskiej, co z braku narzędzi ochraniających lokalnych, polskich producentów. Po kilkunastu miesiącach sprawa rozejdzie się po kościach, rząd zacznie zaś szukać sposobu na opodatkowanie nowej formy handlu.

Z obecnej sytuacji próbują wyjść obronną ręką organizatorzy internetowych giełd rolnych, na których znajdują się ogłoszenia o samozbiorach (nierzadko również z cenami warzyw i owoców) oraz informacje dla „zbieraczy".

Giełdy zaczęły cywilizować samozbiory, tak żeby zbieranie płodów rolnych nie wymknęło się spod kontroli. W ostatnich dniach pojawiły się przypadki, że klienci zbierali z pól rolników, którzy nie byli tym zainteresowani, zdarzały się również kradzieże lub ogłoszenia dawane w formie żartu lub przez konkurentów. Dzisiaj giełdy w pierwszej kolejności sprawdzają każde ogłoszenie, dzwoniąc bezpośrednio do właścicieli gospodarstw rolnych, dopiero podwójnie potwierdzona informacja sprawia, że wiadomość o możliwości samodzielnego zebrania i zakupu płodów rolnych pojawia się w internecie. Co ważne – tu również system przeciwdziałania nadużyciom zaistniał w drugim obiegu, obok tego, co powinna gwarantować administracja publiczna.

Cesarz jest nagi

Polski rząd po raz kolejny dał się złapać na celowym lub przypadkowym zaniedbaniu. Tym razem jednak musi liczyć się z interwencją sieci hipermarketów, które jeszcze tej jesieni odnotują wyraźny spadek obrotów na warzywach i owocach. Pospolite ruszenie rolników i coraz mniej zamożnych Polaków pokazało zaś nieudolność obecnego gabinetu.

Baśń „Nowe szaty cesarza" Andersena, o której wspomnieliśmy na początku, opowiada o pewnym mającym słabość do strojów władcy, którego próżność, a ponadto próżność jego dworzan, wykorzystują dwaj tkacze-oszuści. Przybywając do stolicy owego kraju, ludzie ci rozpowiadają, że potrafią utkać niezwykły materiał niedostępny dla oczu głupców i niezdolnych do sprawowania swojego urzędu. Gdy wiadomość trafia do uszu cesarza, ten szybko składa u nich zamówienie. Rzekomi tkacze pozorują pracę, nie tkając w rzeczywistości niczego, a wysłani do nich dworscy urzędnicy, nie chcąc dać się ośmieszyć i stracić stanowisk, udają, że widzą cudowny materiał oraz przystają na opowieści oszustów. To samo zrobią wszyscy dworzanie. W rezultacie monarcha, chcąc być ubrany w niezwykłe szaty, których rzekomego nałożenia mają dopilnować sami oszuści, pokazuje się swoim poddanym bez stroju. Mieszkańcy stolicy, również nie widząc niczego, wolą się jednak do tego nie przyznawać, aż nagle o nagości cesarza głośno mówi niewinne dziecko.

MINISTERSTWO ROLNICTWA ZAUWAŻYŁO PROBLEM DOPIERO, KIEDY STAŁ SIĘ GŁOŚNY I KIEDY RZĄD ZORIENTOWAŁ SIĘ, ŻE LEKCEWAŻĄC ROLNIKÓW, WYPCHNĄŁ ICH POZA SYSTEM PODATKOWY.

eprasa.pl ec52629d92

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego

Basia: – „Ja jestem ból do samego nieba" – mówiła Marianna Popiełuszko, matka ks. Jerzego, gdy dowiedziała się o śmierci syna. Dziś wracamy do dramatycznych wydarzeń sprzed 41 lat, do czasu męczeńskiej śmierci Patrona Solidarności bł. ks. Jerzego Popiełuszki.

Tomek: – To zdjęcie zrobiłem właśnie wówczas, gdy po porwaniu ks. Jerzego jego mama przyjechała do Warszawy. Smutny to był czas.

– Pamiętam mamę ks. Jerzego z o wiele późniejszych czasów. Na pewno miała świadomość, że jej syn nie był zwykłym człowiekiem i że jego śmierć wiele znaczyła. Pamiętam też, jak przedstawiciele Solidarności opowiadali, że zawsze była blisko Związku.

– Fotografowałem ją wielokrotnie nie tylko przy grobie ks. Jerzego, ale również na różnych uroczystościach Solidarności, na Pielgrzymce Ludzi Pracy. Myślę, że z przyjaźni syna ze Związkiem i z jego dokonań związanych z działalnością wśród ludzi pracy była bardzo dumna.

Rozmawiała
Barbara Michałowska

eprasa.pl ec52629d92

REKORDY i REGRESY

V Republiki

Wiele niechlubnych rekordów zostało pobitych. I trudno sobie wyobrazić, czy ostatnie tak wyśrubowane osiągnięcia polityczne i ekonomiczne Francji, eufemistycznie rzecz ujmując, zostaną kiedykolwiek przebite. Ile jeszcze osiągnięć wytrzyma francuski człowiek pospolity, monsieur Dupont i madame Martin, trudno orzec. Nie ulega jednak wątpliwości, że jesteśmy świadkami **końca solidnych fundamentów ustrojowych** stworzonych pod koniec lat pięćdziesiątych przez generała Charles'a de Gaulle'a.

Marcin Darmas

Pierwszy wyczyn jest anegdotyczny i mierzony temporalnie. Rząd Sébastiena Lecornu funkcjonował niecałe dwadzieścia cztery godziny. Zdymisjonowani po niemal dobie rządzenia ministrowie, według francuskiego prawa pracy, dostaną odprawy w wysokości trzykrotności miesięcznej pensji, czyli grosso modo 30 tys. euro... Lecornu oznajmił kategorycznie, że żadnych odpraw nie będzie. Pożyjemy, zobaczymy...

To nie koniec rapsodycznych osiągnięć. W drugim trymestrze 2025 roku zadłużenie Francji wyniosło 3416,3 miliarda euro, to jest 115,6% PKB kraju. Pułap 60% krajowego wytworu został zatem przekroczony dość istotnie, i to już dawno. Chyba nie trzeba podkreślać, że Francja nie przestrzega reguł budżetowych ustalonych w Traktacie z Maastricht. Ponaglenia Brukseli nic tu nie wskórają. Ponadto według obowiązującego kalendarza rząd winien uchwalić ustawę budżetową do końca października. Zegar tyka. Agencje ratingowe bankowo nomen omen perspektywy ekonomiczne Francji obniżą, zwiększając tym samym już faraoniczne oprocentowanie długu kraju przewodzonego przez „Mozarta finansjery" (tak nazywano Emmanuela Macrona, gdy obejmował swoje funkcje).

> FRANCJA JEST W PRZEDEDNIU WIELKICH RUCHÓW TEKTONICZNYCH, KTÓRE PORUSZĄ OGÓŁ JEJ SPOŁECZEŃSTWA.

Jak widać, ogłupiające dreptanie w kole trwa, odkąd prezydent Macron postanowił rozpisać wcześniejsze wybory, przestraszywszy się rekordowej delegacji Zjednoczenia Narodowego w Parlamencie Europejskim. Mówił wówczas, w charakterystycznej dla siebie frazeologii, o niezbędnej klaryfikacji. I jako dobry „ojciec narodu" usłyszał „krzyk" francuskich peryferii. Co ciekawe, owo niezadowolenie nie dochodziło do uszu Macrona wcześniej, ani podczas protestów „żółtych kamizelek", ani po masowych manifestacjach sprzeciwiających się podwyższeniu wieku emerytalnego. Otumanienie, innego słowa nie sposób znaleźć, łączy się tutaj z osobliwą odrazą do narodu. Ponieważ prezydent ponownie powierzył misję stworzenia rządu temu samemu Sébastienowi Lecornu. Wszystko wskazuje na to, że bliski współpracownik prezydenta, zostanie powtórnie poniżony i trwałego rządu nie stworzy.

Wcześniej Macron, chcąc rachować możliwość osiągnięcia niezbędnego zaufania w Zgromadzeniu Narodowym, zaprosił na konsultację reprezentantów wszystkich stronnictw tzw. łuku republikańskiego (takiego sformułowania

eprasa.pl ec52629d92

Fot. Gonzalo Fuentes / Reuters / Forum

Były premier Francji Sébastien Lecornu – jego rząd został zdymisjonowany po niespełna dobie

użyto), wyjąwszy liderów Zjednoczenia Narodowego i Nieuległej Francji. Pisano i mówiono wykręty usprawiedliwienia, że demokrację należy tworzyć z demokratami, że sytuacji nie należy zaogniać, paktując z wrogami ludowładztwa.

Ale dlaczego prezydent Francji nie rozwiąże znów Zgromadzenia Narodowego? Odpowiedź jest prosta. Przezornie ukryty za kulisami kuriozalnych decyzji Emmanuela Macrona jest strach przed rozpisaniem nowych wyborów. I mamy tutaj do czynienia z największym „dokonaniem", bez precedensu nad Sekwaną, a mianowicie lękiem przed demokracją właśnie. Przed werdyktem wyborców, który z dużym prawdopodobieństwem stałby się końcem aktualnej elity politycznej. Prezydent Francji szuka politycznego ratunku za wszelką cenę, w przymierzu ze wszystkimi dostępnymi siłami, kosztem ustrojowego regresu, po to, aby – broń Boże! – nie rozpisywać przedwczesnych wyborów grożących rządami Marine Le Pen. Aby nigdy, przenigdy, nie wchodzić w polityczne konszachty ze Zjednoczeniem Narodowym. Aby zatem trzymać ludowego Hannibala przed bramami Rzymu. Jak pouczał Niccolò Machiavelli: „Nigdy nie jest się bardziej bliskim porażki niż wówczas, gdy żywi się obawy, iż nie zdoła się zwyciężyć".

Co ciekawe, już Alexis de Tocqueville w „Dawnym ustroju i rewolucji" dostrzegał ową francuską niechęć rządzących do wyborów i gustów politycznych pospólstwa. Cecha ta łączyła królów i rewolucjonistów, Burbonów i Robespierystów, nie ufano ani jednostkom, ani grupom. Traktowano je jak dzieci. A Republika żądała od własnych dzieci respektowania swoich cnót: przede wszystkim zaś niepodzielności. Nieprzypadkowo Francja niemalże jako ostatnia przyznała kobietom prawa wyborcze. Długo traktowała je jako zależne (w tym przypadku od Kościoła). Wystarczy przypomnieć losy „niesfornych dzieci" Republiki, które marzyły o większym udziale w rządzeniu, począwszy od żyrondystów, na „żółtych kamizelkach" kończąc.

Według Christophe'a Guilly'ego, autora słynnego eseju „No society. Koniec zachodniej klasy średniej", Francja jest w przededniu wielkich ruchów tektonicznych, które poruszą ogół jej społeczeństwa. Tradycyjna fosa między klasami ludowymi a elitami, oznajmia francuski socjolog, pogłębia się i staje się istotnym zagrożeniem

eprasa.pl ec52629d92

dla spoistości francuskiego społeczeństwa. Co więcej, elity wydają się coraz mniej zainteresowane dobrem wspólnym. Nie ma co się dziwić, są bowiem zglobalizowane, nomadyczne i całkowicie mobilne. Mogą zamknąć się w wieży z kości słoniowej, w rezydencjach na Lazurowym Wybrzeżu czy na Korsyce, otoczone wysokim murem, bez kontaktu z lokalnymi, dzikimi plemionami. Jeśli zaś uzna francuski ład fiskalny za niekorzystny, po prostu wyjedzie. Znajdzie lepsze i korzystniejsze dla siebie pejzaże (vide Gérard Depardieu).

Efekty owego désintéressement dla spraw publicznych łatwo przewidzieć. W obrębie tego samego terytorium powstają dwa duże bloki coraz mniej ze sobą powiązanych i zainteresowanych współistnieniem w tej samej wspólnocie. Z jednej strony królestwo o nazwie „Metropolia", dobrze ułożone i prosperujące. Z drugiej Korona „Peryferii", popadająca coraz bardziej w odmęty ubóstwa, żyjąca z podczepienia się do państwowej kroplówki rozmaitych zapomóg. Co istotne, według Guilly'ego, masowo przyłącza się do „Peryferii" pauperyzująca się klasa średnia. Mieszkańcy przeważającego ilościowo na terenie Francji bloku dostrzegają wysychające źródło programów społecznych, przy jednoczesnym i stale rosnącym przepływie przybyszów z innych królestw i księstw. Państwo nie ma innego wyjścia: znów musi zwiększać zadłużenie, aby obecny model społeczny utrzymać. Natomiast, co ciekawe, kolejnych fal migracyjnych nie zatrzymuje. Używanie preferencji narodowej byłoby bowiem, jak się wydaje, ujmą dla kolebki Praw Człowieka i Obywatela. Byłoby również stosowaniem polityki suflowanej przez największego wroga establishmentu, barbarzyńskiego Hannibala w spódnicy, przez Marine Le Pen.

Francuski kryzys należy widzieć nie tylko jako upadek klasy politycznej, ogarniętej panicznym strachem przed utratą stanowisk, apanaży i dystynkcji. To nie tylko pogłębienie rozdźwięku między warstwami całego społeczeństwa. Ani też, li tylko!, kryzys republikańskich cnót zawartych nieodmiennie w hasłach: wolność, równość, braterstwo. Rozmaite sploty i komplikacje, wieloletnie zaniedbania, niemoc w przeprowadzeniu uzdrawiających reform, małości i gierki parlamentarne, spowodowały najpoważniejszy kryzys ustrojowy od zakończenia drugiej wojny światowej. Obecna karuzela rządów, rozłamy, szukanie sojuszy, brak dyscyplinującego wszystkie frakcje sporu politycznego autorytetu prezydenta, spowodowały instytucjonalny regres. Oto Francja z V cofnęła się do IV Republiki. Właśnie owa konstytucja, duchowo inspirowana bonapartyzmem, spowodowała, że Francja wyszła bez większych zgrzytów ze sromoty wojny i zainicjowała instytucjonalną stabilność trwającą do dziś. Nie ma co kryć. Autor ustawy zasadniczej Charles de Gaulle pisał ją pod siebie i dla siebie. Była garniturem szytym na miarę. A warto pamiętać, że generał był mężczyzną wysokim...

V Republika, w swoim legislacyjnym duchu, miała zerwać z niekończącymi się waśniami parlamentarnymi. To po pierwsze. Po drugie, miała łączyć bezpośrednią nicią suwerena z władcą. Stąd szerokie prerogatywy prezydenta, siedmioletnia kadencja (obniżona do pięciu w nowelizacji zaproponowanej przez Jacques'a Chiraca), możliwość mianowania przezeń rządu, rozwiązania Zgromadzenia Narodowego, odwołania się do referendum. Słowem, ustrój Francji w wizji de Gaulle'a miał być syntezą republiki i monarchii. Premier w tej ustrojowej filozofii miał pozostać współpracownikiem i wykonawcą woli ośrodka prezydenckiego. Co ciekawe, francuska konstytucja przewiduje możliwość obstrukcji Zgromadzenia Narodowego poprzez słynny artykuł 49.3. Na jego mocy rząd może ominąć głosowanie w parlamencie, jeśli nie jest pewny swojej większości, i bezpośrednio uchwalać przygotowane ustawy. Najważniejsza zaś w intencji legislatora jest wola suwerena wyrażona przez prezydenta wybieranego w wyborach powszechnych. Tę bezpośrednią zależność Charles de Gaulle traktował z powagą. Do tego stopnia, że gdy przegrał referendum w 1969 roku (dotyczące deregionalizacji i reformy senatu), tego samego dnia zrezygnował ze swoich funkcji.

Strach Macrona przed ponownymi wyborami i plebiscytem jest połączony z pogardą – do konstytucji i do narodu.

WIELOLETNIE ZANIEDBANIA, MAŁOŚCI I GIERKI PARLAMENTARNE SPOWODOWAŁY NAJPOWAŻNIEJSZY KRYZYS USTROJOWY OD ZAKOŃCZENIA DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ.

eprasa.pl ec52629d92

Piotr Skwieciński

Bardzo dziwny kolonializm

Gdyby minister spraw zagranicznych poprosił mnie o przygotowanie mu projektu tekstu sejmowego exposé, to fragment dotyczący Bliskiego Wschodu brzmiałby mniej więcej tak:

„Rzeczpospolita Polska nie jest zainteresowana ani likwidacją państwa Izrael, ani też jego przetrwaniem. Rzeczpospolita Polska zgłasza zarazem swoje kompletne désintéressement wobec projektów i działań mających na celu ustanowienie państwa palestyńskiego. Zarówno ze zwolennikami, jak i z przeciwnikami któregokolwiek z wymienionych wyżej politycznych pomysłów, jak i bardziej generalnie – ze stronami tego konfliktu Polska będzie prowadzić stosunki oparte na rygorystycznie pojmowanej zasadzie rzeczowej. Innymi słowy Rzeczpospolita nie wyklucza poparcia żadnej ze stron tego sporu, ale jedynie w zamian za jej ekwiwalentne świadczenie na rzecz naszego państwa".

Nie uważam bowiem, by Polska miała – lub mogła mieć – jakiekolwiek szczególne stosunki z którąkolwiek ze zwalczających się tam sił. Kiedyś może nie tyle wierzyłem, ile nie odrzucałem stanowczo popularnej wówczas na prawicy koncepcji ustanowienia takich relacji z Izraelem. Dziś jednak nawet najbardziej filosemiccy obserwatorzy widzą, iż (tak zresztą jak w wypadku innych pieszczonych przez co naiwniejszych Polaków wizji, jak na przykład jakichś specjalnie bliskich relacji z Ukrainą) po drugiej stronie nie istnieje nikt zainteresowany taką perspektywą. A wszystko, co działo się w ciągu ostatniej dekady (reakcja na nowelizację ustawy o IPN, na kładącą kres szemranej reprywatyzacji ustawę o wygaszeniu roszczeń, oraz periodyczne antypolskie kampanie, inicjowane przez izraelskich polityków w słusznej nadziei, że przyniosą im one popularność) przekonuje, iż wizje te najłagodniej określić można mianem fantasmagorycznych.

Tego rodzaju konstatacje nie powinny jednak skłaniać do popadania w przeciwne skrajności, w myśl zasady, że odmrożę sobie uszy na złość dawnej miłości, która nami wzgardziła. A z takimi skrajnościami mamy obecnie często do czynienia w polskiej przestrzeni intelektualnej.

Na mojej prywatnej liście absurdów wysoko mieści się np. popularne ostatnio nazywanie Izraela „tworem kolonialnym". Jeśli lansujący i używający tego pojęcia czynią to szczerze, to wystawia to im żenujące świadectwo.

Dlaczego? A choćby dlatego, że kolonializm – i nie ma wyjątków od tej reguły, to jest rdzeń tego zjawiska – niezależnie od swoich licznych rodzajów zawsze polegał na chęci odniesienia sukcesu materialnego. Innymi słowy, osadnicy udawali się gdzieś tam, żeby polepszyć swoją stopę życiową.

Otóż konia z rzędem temu, kto potrafiłby wykazać coś podobnego w wypadku realizacji projektu syjonistycznego i imigracji Żydów do Ziemi Świętej. Bywało, dopowiedzmy, dokładnie odwrotnie. Kierujący się wiarą czy ideologią synowie europejskich adwokatów, notariuszy, kupców jechali do Palestyny, by tam stać się, po prostu, rolnikami w kibucu czy innego rodzaju pracownikami fizycznymi. Swoją stopę życiową świadomie obniżali, a co najmniej kładli krzyżyk na perspektywie jej wzrostu. Liczyło się dla nich coś innego.

To zjawisko pojawiające się na współczesnym Zachodzie nazwane zostało „voluntary downshifting". Tylko że po pierwsze jest tam rzadkie, wyspowe, a po drugie polega na tym, że ktoś świadomie rezygnuje z wyższego standardu życia w zamian za zmniejszenie wysiłku związanego z pracą. A żydowski imigrant w Palestynie zawsze pracował bardzo ciężko, ciężej niż przed porzuceniem posady w Hamburgu czy Warszawie. Również – dopowiedzmy – współcześni izraelscy osadnicy, osiedlający się na okupowanych terenach Zachodniego Brzegu bynajmniej nie podwyższają w ten sposób swojej stopy życiowej.

Jeśli to kolonializm, to jakiś taki raczej dziwny.

eprasa.pl ec52629d92

Czy Mike Judge jest prorokiem?

Mike Judge to postać, której twórczość, niezależnie od tego, czy przybiera formę animowanych klasyków, czy kultowych filmów fabularnych, niezmiennie wyprzedza swoje czasy. Tak przynajmniej twierdzą autorzy licznych dziennikarskich portretów, powtarzający tezę o profetycznych wizjach autora Beavisa i Butt-Heada. Czy rzeczywiście jest prorokiem? A jeśli tak, to **gdzie bije źródło jego przenikliwości**?

Patryk Stanik

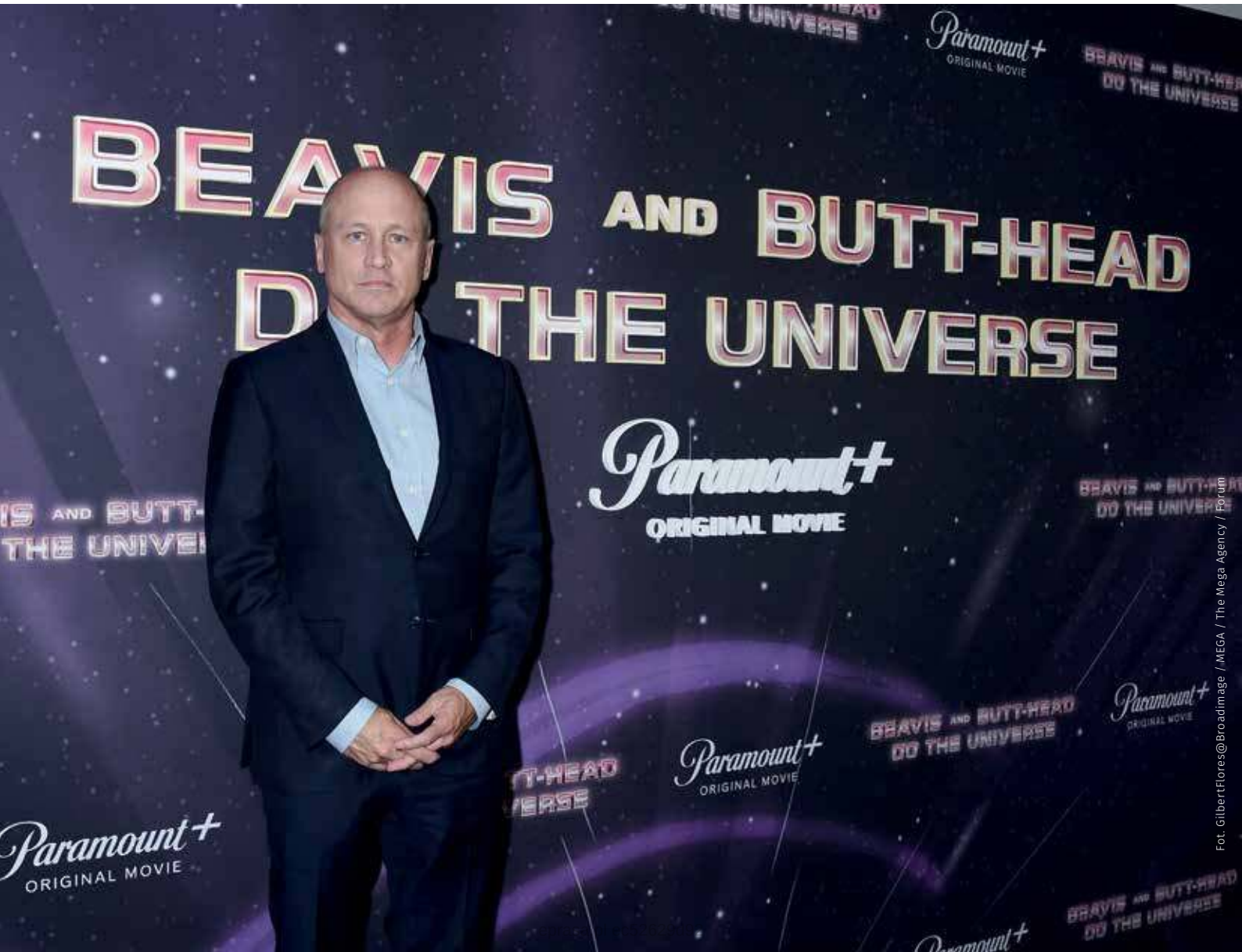

Fot. GilbertFlores@Broadimage / MEGA / The Mega Agency / Forum

Mike Judge wychował się w Teksasie, gdzie ukończył katolickie liceum św. Piusa X (co mogło ukształtować jego obraz ludzi jako dzielących wspólnotę losu). Jest inżynierem z Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Diego. Jego pierwsza praca dotyczyła oprogramowania testującego usterki w myśliwcach F-18. Opisywał ją jako ślęczenie w boksie i po roku zrezygnował. Przeniósł się do Doliny Krzemowej, jednak nie pasował mu klimat tego miejsca, więc i tam nie został długo. Jego głównym utrapieniem było wtedy znalezienie takiego sposobu zarabiania na życie, który nie będzie jednocześnie udręką.

Pod koniec lat 80. Judge przeprowadza się na przedmieścia Dallas, które staną się jego inspiracją dla serialu „King of the Hill" (niezręcznie przetłumaczonego na język polski jako „Bobby kontra wapniaki"). To na festiwalu filmów animowanych w Dallas zainteresuje się animacją i zacznie pracę nad swoimi filmami: ceni niezależność, którą daje mu ten format. W tym czasie na życie zarabia jako... basista w zespołach bluesowych, ale po paru latach rezygnuje. Również i te doświadczenia wykorzysta w swojej twórczości.

Pierwsze proroctwo Mike'a Judge'a: bullshit jobs

Jak widać, Judge nie potrafi zagrzać miejsca. Zagadnienie pracy staje się istotne w jego twórczości od samego początku. W swojej pierwszej kreskówce „Milton's Office Space" prezentuje cichego, niespełnionego buntownika zakleszczonego w żmudnej atmosferze biurowej. Sam Judge będzie opowiadał o swoim rozczarowaniu, kiedy przez całe życie wmawiano mu, że odniesie sukces, jeśli zostanie inżynierem i znajdzie pracę za biurkiem, a kiedy mu się to udaje, zauważa, że jego sąsiad będący mechanikiem samochodowym jest szczęśliwszy: więcej zarabia, ma elastyczne godziny pracy i nikt go nie nadzoruje.

W 1999 roku debiutuje jako reżyser filmu aktorskiego. „Office Space" jest rozwinięciem tematyki z „Miltona": bohater filmu Peter Gibson, który nienawidzi swojej pracy i pasywno-agresywnego przełożonego, po sesji terapeutycznej zaczyna się niczym nie przejmować. W pracy zaczyna odmawiać wykonywania poleceń, jest do bólu szczery; niektórzy nazwali go prekursorem znanego z czasu lockdownów zjawiska „cichego odchodzenia" (quiet quitting) z pracy, kiedy pracownicy, jak melville'owski Bartleby, „woleliby nie".

To jednak nie „ciche odchodzenie" jest źródłem popularności filmu, a trafnie uchwycona rzeczywistość „pracy bezsensownej": duszna, korporacyjna atmosfera pracy pełnej absurdów. Judge nie znosi „klasy menedżerskiej" i jej nieszczególnie głęboko skrywanej brutalności, pożenionej z przekonaniem, że jest merytoryczna i efektywna. „Office Space" w kinach okazuje się jednak klapą, a dopiero dzięki dystrybucji w wypożyczalniach wideo film, dzięki tzw. marketingowi szeptanemu (czyli zwykłym ludziom polecającym go swoim znajomym), zyskuje popularność, a dzisiaj nawet status kultowy (o czym świadczy fakt, że kolejne okrągłe rocznice premiery oznaczają pokazy specjalne, festiwale i dyskusje mu poświęcone).

Pojęcie „bullshit jobs" („pracy bezsensownej") antropolog David Graeber spopularyzuje dopiero kilkanaście lat po tym, kiedy Mike Judge odzwierciedlił jej cechy w swojej twórczości.

Drugie proroctwo Mike'a Judge'a: ogłupienie medialne

Kolejną kultową dziś produkcją Judge'a jest „Idiokracja", kręcona w 2004 roku, a mająca premierę dwa lata później. Dzisiaj film regularnie staje się odniesieniem do współczesności i równie często bywa wskazywany jako dowód na wizjonerstwo Judge'a. Jego bohater Joe Bauers w ramach eksperymentu ma zostać zamrożony w komorze kriogenicznej na rok, jednak na skutek błędu budzi się dopiero w 2505 roku. Świat, który zastaje, okazuje się skrajnie głupi: średni iloraz inteligencji jest na tyle niski, że Bauers zdaje się być najmądrzejszym człowiekiem w świecie, którego infrastruktura sypie się z powodu niekompetencji ludzkości.

Film jest satyrą na świat będący efektem urynkowienia wszystkiego (nawet prezydent USA przyszłości w nazwisku ma reklamę popularnego słodzonego napoju) i ogłupienia ludzi coraz głupszą telewizją. Zjawiska te Judge krytykował już we wcześniejszym serialu „Beavis i Butt-Head", którego bohaterowie spędzają

FILM „IDIOKRACJA" JEST PRZYWOŁYWANY JAKO PROROCZY OPIS NASZYCH CZASÓW – CO WYJĄTKOWE – PRZEZ OBIE STRONY SPORU ŚWIATOPOGLĄDOWEGO.

eprasa.pl ec52629d92

życie na pasywnej konsumpcji i komentowaniu muzycznych teledysków. Miał rację: według badań przeciętny iloraz inteligencji ludzkości rósł stabilnie do końca XX wieku i zaczął spadać w wieku XXI. Pytany o źródło popularności serialu Judge mówi, że nie jest on złośliwą satyrą: jego bohaterów nazywa optymistycznymi, którzy nawet kiedy broją, robią to na skutek niewiedzy, ale nie złej woli. Jednym słowem Judge lubi swoich bohaterów i z nimi empatyzuje.

Z „Idiokracją" wiąże się jeszcze jedno zagadnienie: film bywa przywoływany jako opis naszych czasów, co jednak wyjątkowe – przez obie strony sporu światopoglądowego. Zarówno przeciwnicy Donalda Trumpa powoływali się na „Idiokrację", by ogłupieniem wyborców wytłumaczyć sobie jego popularność, jak i zwolennicy neoliberalizmu, którzy wskazywali, że film pokazuje świat będący efektem „państwowego subsydiowania porażki". To nie przypadek: Mike Judge jest twórcą, który nie staje po żadnej stronie sporu politycznego. Potrafi udzielić wywiadu tak liberalnemu „New Yorkerowi", jak i alt-prawicowemu portalowi Alexa Jonesa „InfoWars". Występuje zarówno w podkastach „populistycznego" Joego Rogana, jak i progresywnego Marka Marona, pojawia się zarówno w „Texas Monthly", jak i na łamach „New York Magazine".

Trzecie proroctwo Mike'a Judge'a: kwestionowanie ekologizmu

Nie wystarczy, by twórca deklarował, że nie chce brać udziału w wojnie światopoglądowej. Szczególnie, kiedy tym twórcą jest Judge, który wcale nie unika tematów politycznych.

Jednym z jego największych sukcesów jest serial „King of the Hill" (który parę tygodni temu wrócił po 15 latach przerwy), z lat 1996–2010. O ile „Beavisa i Butt-Heada" pokazywał młodzieżowy, buntowniczy kanał MTV, o tyle sagę rodziny Hillów wyświetlał konserwatywny kanał Fox. Mniej znany serial „The Goode Family" natomiast powstał dla liberalnej telewizji ABC.

Pospieszny komentator mógłby przedstawić oba seriale jako swoje przeciwieństwa. Z jednej strony mamy Hanka Hilla, mieszkającego w konserwatywnym Teksasie sprzedawcę propanu, i jego zmagania z gwałtownie zmieniającym się światem wartości, w jakich dorastał. Serial był reakcją Judge'a na popularne, ale pełne cynizmu seriale pokroju „Miasteczko South Park" czy „Simpsonowie": mówi, że chciał przywrócić godność mieszkańcom suburbii, wyszydzanym jako hipokryci w innych serialach i filmach. Z drugiej strony: rodzina Goode mieszka w nieprzypadkowo nazwanej miejscowości Greenville w liberalnej Kalifornii. Goode'owie, jak wskazuje ich nazwisko, starają się prowadzić „dobre", a przynajmniej „dobrawe" życie, ale już według nowych wartości: ekologii i różnorodności. Są weganami (i taką dietę serwują swojemu psu), którzy adoptują afrykańskie dziecko, by zwiększyć różnorodność rasową swojej rodziny (co ostatecznie się nie udaje: owszem, dostają dziecko z Afryki, jest ono jednak białym dzieckiem z RPA). Serial ukazuje paradoksy wynikające z próby ekologicznego, pełnego poprawności politycznej życia w rodzinie z klasy robotniczej (głowa rodziny wprawdzie pracuje na uniwersytecie, ale jako administrator, a nie wykładowca). W 2009 roku, kiedy serial powstał, niewielu jeszcze kwestionowało ekologizm, a szczególnie jego koszt, finansowy i psychologiczny, dla rodzin z klas średnich i robotniczych.

Gdyby Goode'owie i Hillowie zostali sąsiadami, światopoglądowo byliby oddaleni od siebie o lata świetlne. Hank sprzedaje propan i lubi grillować, natomiast Gerald jeździ na rowerze i próbuje diety freegańskiej (czyli zjada rzeczy znalezione w śmietnikach). A jednak więcej ich łączy, niż dzieli: są to robotnicze rodziny, które próbują nawigować w coraz bardziej skomplikowanym świecie. Łączy ich coś jeszcze: sympatia twórcy, który zresztą podkłada głos zarówno pod Hanka Hilla, jak i pod Geralda Goode'a.

MIKE JUDGE NIE JEST PROROKIEM. JEST JASNOWIDZEM: BEZ UPRZEDZEŃ I Z SYMPATIĄ OBSERWUJE OTACZAJĄCY GO ŚWIAT.

Czwarte proroctwo Mike'a Judge'a: krytyka Doliny Krzemowej

Podobnie jest z sympatią Judge'a do bohaterów serialu „Dolina Krzemowa", czyli kolejnego wielkiego hitu Judge'a. Również w nim pokazał, że potrafi wyprzedzić powszechną świadomość o całe lata. Już w 2013 roku, kiedy świat fascynował się start-upami i nadal kochał kolejne wynalazki Doliny Krzemowej, takie jak media społecznościowe i smartfony, Judge pokazał ten świat od środka. Zrobił to zresztą na tyle trafnie, że sami pracownicy Doliny Krzemowej

eprasa.pl ec52629d92

dzielili się na zachwyconych komicznym realizmem zaprezentowanego świata, jak i zasmuconych jego absurdalnym realizmem.

Serial pokazuje losy programistów, którzy starają się nawigować pełną mielizn i skał rzeczywistość technologicznej (i finansowej) stolicy świata. Również z nimi Judge sympatyzuje. Tak jak mówił, że lubi Beavisa i Butt-Heada za ich pozytywne usposobienie, tak o zwykłych pracownikach Doliny Krzemowej mówi, że lubi ich bardziej niż wyrobników Wall Street, bo przynajmniej tworzą coś, z czego korzystają zwykli ludzie. Nie szczędził jednak krytyki zasadom panującym w świecie firm technologicznych, takim jak kradzież cudzych pomysłów i hipokryzja stojąca za hasłem o „czynieniu świata lepszym", służącym usprawiedliwianiu bogacenia się.

Czy Mike Judge jest dobrym człowiekiem?

Kiedy patrzę na różnorodną twórczość Mike'a Judge'a oraz jego „agnostycyzm" dotyczący mediów, w których sam się pojawia, i odwrotnie: mediów, które piszą o nim z rewerencją i zaciekawieniem, widzę człowieka silnego swoją zwyczajnością.

W jego portretach medialnych pojawiają się określenia takie jak „spokój", „delikatność", „odprężenie", „pocieszenie". Kiedy udziela wywiadu, należy przybliżyć dyktafon, bo mówi cicho. Kiedy pracuje na planie, nigdy nie podnosi głosu, chociaż często się śmieje. Aktor Chris Diamantopoulos nazywa go „dobrym, miłym gościem", będącym „solą ziemi".

> O ZWYKŁYCH PRACOWNIKACH DOLINY KRZEMOWEJ JUDGE MÓWI, ŻE LUBI ICH BARDZIEJ NIŻ WYROBNIKÓW WALL STREET, BO TWORZĄ COŚ, Z CZEGO KORZYSTAJĄ ZWYKLI LUDZIE.

Podobnie odbieram go, oglądając długie, czasem kilkugodzinne wywiady, których udziela podkasterom i youtuberom. Mówi spokojnie, niskim głosem, z lekkim, teksańskim akcentem, który nawet u polskiego odbiorcy budzi uczucie przyjemnej swojskości.

Czy to nie zaskakujące, że twórca tak nachalnych, głośnych postaci jak Beavis i Butt-Head jest ich przeciwieństwem? Że twórca tak zjadliwych satyr jak „Office Space" czy „Idiokracja" jednocześnie zdaje się być człowiekiem o dużym sercu?

> CZY TO NIE ZASKAKUJĄCE, ŻE TWÓRCA TAK NACHALNYCH, GŁOŚNYCH POSTACI JAK BEAVIS I BUTT-HEAD, JEST ICH PRZECIWIEŃSTWEM?

Może to właśnie pojemność jego serca sprawia, że nawet tak bezmyślne i wulgarne istoty jak Beavis i Butt-Head potrafią równocześnie budzić czułość? Może z tego samego powodu dzieła Judge'a trafiają do sieci telewizyjnych o tak różnych profilach ideowych, jak młodzieżowy MTV, konserwatywny Fox, liberalne ABC czy elitarne HBO?

Jest rzadki typ ludzi, którzy mają ostre spojrzenie i cięty humor, w dodatku obśmiewają przywary zdawałoby się wszystkich: młodych i starych, mądrych i głupich, konserwatywnych i liberalnych, a mimo tego u niewielu budzą niechęć. Bo czuć, że ten śmiech nie jest rechotem przekonanego o własnej wyższości aroganta, a raczej serdeczną formą bliższą przekomarzaniu się z dobrymi przyjaciółmi. To satyra biorąca stronę zwykłych ludzi, którzy w jego filmach i serialach odnajdują siebie: swoje przywary i momenty wielkości, swoje kłopoty i troski, i tę samą trudność w życiu własnym życiem w świecie, na który nie mają już dużego wpływu.

Mike Judge nie jest więc prorokiem, jak często nazywają go media. Jest jasnowidzem: bez uprzedzeń i z sympatią obserwuje ludzi, a dzięki temu jasno widzi świat, w którym żyje. Zapytany o to, po co ludziom poczucie humoru, opowiada o teorii ewolucyjnej, według której humor jest sygnałem, że zagrożenie minęło, że wszystko jest w porządku.

On po prostu lubi ludzi. I chce, by czuli się bezpiecznie.

eprasa.pl ec52629d92

Czytasz wpis lub komentarz w medium społecznościowym i nie jesteś pewien, czy został napisany przez prawdziwego człowieka. Oglądasz film na YouTubie i masz wrażenie, że docierają do ciebie same banały, tak jakby ktoś bezdusznie zebrał ogólnodostępne fakty, a potem przeczytał je bez emocji, ładnym głosem, ale robiąc przy tym dziwne, maszynowe błędy. Oglądasz zdjęcia pięknych potraw, niesamowitych produktów rękodzieła albo po prostu atrakcyjnych dziewczyn. Wszystko jest **zbyt idealne**, a zarazem w swoim szaleństwie powtarzalne. Setki komentarzy wyrażają podziw, zachwalają produkt, gratulują lub współczują. W tym tłumie i hałasie czujesz się coraz bardziej samotnie. Witamy w martwym internecie.

Krzysztof Karnkowski

WITAJCIE w martwym internecie

Początkowo „teoria martwego internetu", po raz pierwszy sformułowana na forum „Agora Road" w 2021 roku, uważana była za teorię spiskową. W wielkim skrócie głosiła ona, że większość treści w internecie jest od 2016 roku generowana przez różne formy mniej lub bardziej zawansowanej sztucznej inteligencji (wówczas jeszcze w mniej zaawanasowanej formie rozmaitych botów). Autor tej hipotezy oparł ją na własnej obserwacji, w ramach której odkrył narastającą powtarzalność treści i sformułowań na forach

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl ec52629d92

internetowych i w mediach społecznościowych. I jak to czasem bywa, życie, a w tym przypadku raczej technika, teorię tym razem dogoniły.

Zachwiana proporcja

Choć w odniesieniu do roku 2016, gdy według internauty podpisującego się „Illuminati Pirate" nastąpiło to przesilenie między zawartością „ludzką" i „maszynową", było to jeszcze na wyrost, o tyle dziewięć lat później sytuacja wygląda dużo bardziej niepokojąco. Istnieją badania, według których w dzisiejszym internecie boty generują już połowę ruchu. Inne raporty wskazują, że już kilkanaście procent pisanej zawartości internetu zostało wytworzonych przez sztuczną inteligencję. Można domyślać się, że mamy tu do czynienia z dużym przyrostem, tym bardziej jeśli zaczniemy analizować obrazy. Według teorii martwego internetu wszystko to służyć ma oczywiście generowaniu i utrzymywaniu odpowiednich emocji społecznych, a zarazem tworzeniu chaosu informacyjnego, w którym nie będziemy już w stanie znajdować nawet dostępnych, lecz niewygodnych dla władz informacji, a więc chaos zamiast cenzury. Być może to wciąż za daleko idące wnioski, wiemy jednak, że algorytmy istotnie wpływają na to, co czytamy i, jeśli jesteśmy twórcami, jak szeroko rozejdzie się nasz przekaz. Zasady mogą się zmieniać. Jedne algorytmy i portale promować będą konformizm i przewidywalność, inne docenią konfliktogenność naszych produkcji. Konflikt wygeneruje przecież kliknięcia, odsłony, ruch, a więc i wpływy z reklam. Po to, by zobaczyć, że ktoś żeruje na naszych emocjach, nie trzeba jednak sięgać do żadnych teorii spiskowych. Wystarczy włączyć internet.

Cicha inwazja

Maszyny internetową przestrzeń przejmowały powoli, działając czasem podobnie do wirusów. Na forach istniały legalne, zapewniające zarobek boty, których działalność ograniczała się na przykład do publikowania w każdym nowym temacie jednego wpisu reklamowego. Jeśli jednak moderatorzy nie panowali nad sytuacją, fora opanowały też zewnętrzne generatory treści potrafiące się zarejestrować i zalać całą dyskusję spamem. Z biegiem czasu stawały się sprytniejsze, potrafiły na przykład generować pozornie związane z tematem dyskusji wpisy sklejane z losowych zdań ze wcześniejszych rozmów normalnych użytkowników, uzupełnione o niegroźną, nieinwazyjną reklamę, na przykład zamaskowaną jako podpis. Dziś fora praktycznie już nie działają, jeśli jednak wrócą do łask i staną się atrakcyjne dla nieuczciwych reklamodawców, zapewne będziemy dyskutować z nieistniejącymi użytkownikami, którzy będą wraz z nami analizować ulubione filmy i płyty, czy też programy partii i wypowiedzi polityków. A to może być już groźne, bo przecież mogą mieć całkiem spory dar przekonywania, a my damy się im przekonać, myśląc, że rozmawiamy z ludźmi dzielącymi nasze problemy i przekonania. Pewną, wciąż jeszcze niegroźną, zapowiedzią tego stanu rzeczy są generowane przez sztuczną inteligencję piosenki polityczne, których twórcy często nie informują, że zostały wykonane przez programy do tworzenia muzyki. I tak sympatycy Grzegorza Brauna, bombardowani piosenkami, w których tekst napisał człowiek, lecz resztę wygenerował już algorytm, gratulowali w komentarzach „chłopakom i dziewczynom z zespołu", i cieszyli się,

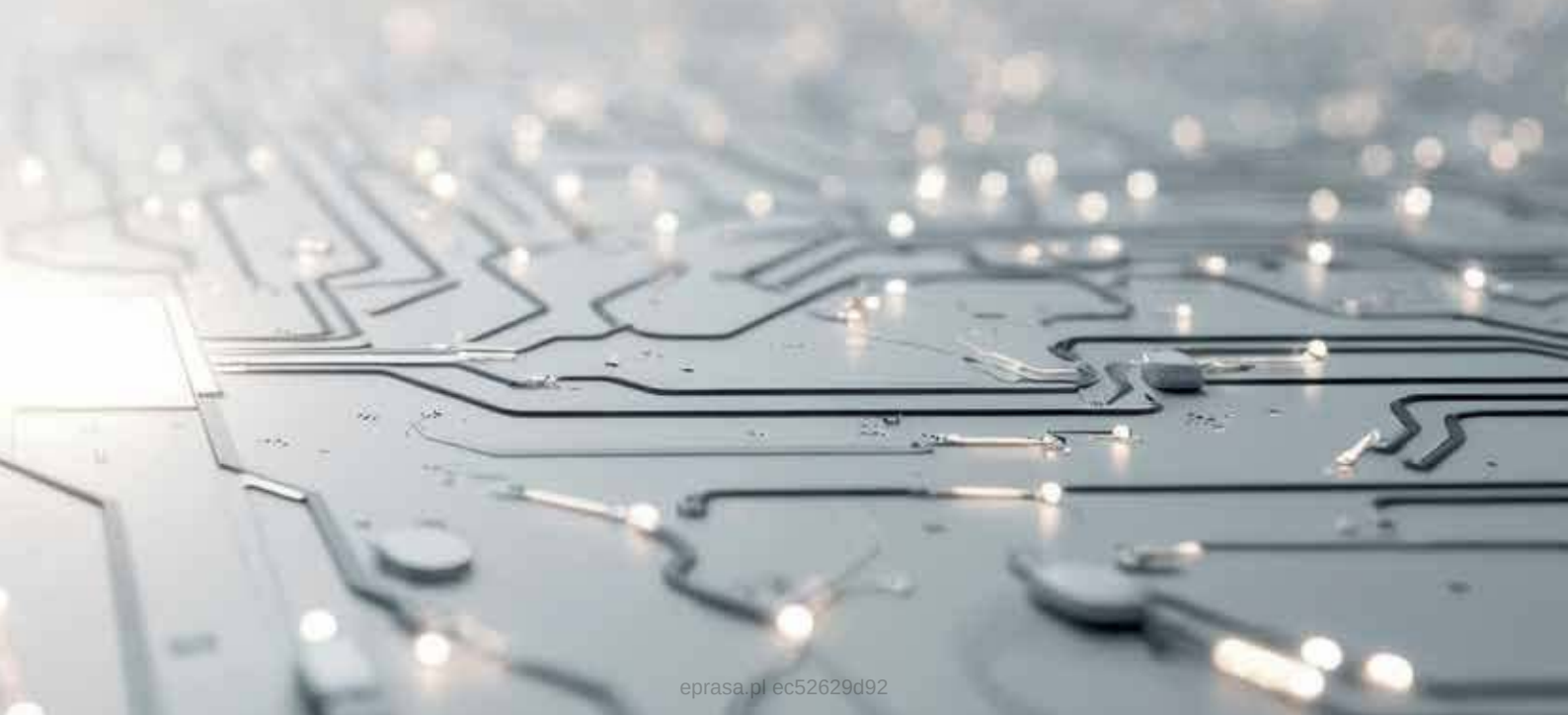

eprasa.pl ec52629d92

że jest tylu młodych ludzi, którzy tak pięknie śpiewają o Polsce i dla Polski grają. Oczywiście można popatrzeć też na to jako na pewne wyrównanie szans – piosenka może być nośnikiem przekazu ideowego, propagandowego. Konieczność zatrudnienia bądź znalezienia muzyków, wynajęcia pomieszczenia na próby, a później studia nagrań nagle znika. Zamiast tego mamy jedynie konieczność napisania tekstu (tego maszyna wciąż jeszcze dobrze za nas nie zrobi) i opłacenia abonamentu w jednej z aplikacji. Jeśli mamy trochę własnej wyobraźni muzycznej, tym lepiej, niemniej kilkudziesięciokrotne zmniejszenie kosztów demokratyzuje dostęp do muzyki jako nośnika przekazu. Podobnie, choć na trochę innych zasadach, dzieje się z grafiką, plakatem czy karykaturą.

CHOĆ WYSTARCZY CHWILA, BY ZORIENTOWAĆ SIĘ, ŻE COŚ JEST NIE TAK, WIĘKSZOŚĆ WIDZÓW BEZREFLEKSYJNIE ŁAPIE SIĘ NA SZTUCZNIE GENEROWANE OBRAZY.

Głęboki fałsz

Problem zaczyna się wtedy, gdy wchodzimy na wyższy poziom realizmu niż rysunek, plakat lub karykatura. Od kilku lat obawiano się technologii deepfake pozwalającej wygenerować materiał, w którym polityk powie własnym głosem słowa, które nie padły (w Polsce tego tricku użyła w kampanii wyborczej Platforma Obywatelska, choć jej cyfrowy Mateusz Morawiecki nie brzmiał zbyt przekonująco i raczej nie wpłynął na losy kampanii), a znana aktorka pojawi się w rzekomo autentycznym filmie pokazującym jej erotyczne ekscesy. Fałszywki z udziałem polityków bywały tworzone na użytek programów satyrycznych, wygłupów (popularne, sztucznie wygenerowane zdjęcie papieża Franciszka w modnej, drogiej kurtce), czasem jednak służyć miały potężnej dezinformacji, jak wypuszczone w 2023 roku jednominutowe wideo z Wołodymyrem Zełenskim wzywającym swoje oddziały do poddania się. W światowej polityce podobne nagrania zdarzają się dość często, czasem po to, by dopiec konkurentowi, czasem, by pokazać nieistniejącą sytuację (na przykład fikcyjną zażyłość Donalda Trumpa z Barackiem Obamą).

FACEBOOKA ZALAŁA CAŁA MASA POSTÓW MAJĄCYCH WYWOŁAĆ OKREŚLONĄ REAKCJĘ UŻYTKOWNIKÓW – I WYWOŁUJĄCYCH JĄ.

Czasem są to filmiki, czasem tylko zdjęcia, które traktujemy na szczęście bardziej jako fotokarykatury niż rzeczywistość. Bo przecież nikt nie uwierzy w grillujących i pijących razem piwo polityków wszystkich polskich partii.

Modlitwa maszyn

Są jednak rzeczy, w które wielu, zwłaszcza starszych, odbiorów wierzy zaskakująco chętnie. Jedną z nich są specyficzne grafiki, wykonane przez coraz lepsze formy sztucznej inteligencji. Choć wprawne oko wciąż jest w stanie dostrzec, że obraz został stworzony przez komputer, choć wystarczy chwila, by zorientować się, że coś jest nie tak, większość widzów bezrefleksyjnie łapie się na te obrazy. Z drugiej strony wrażenie wszechobecnej naiwności potęguje fakt, że bardzo wiele komentarzy również generowanych jest przez automat. Właśnie tu możemy zobaczyć martwy internet w praktyce. Łatwo fałszować historię, już nie kolorując starych zdjęć, lecz tworząc nowe „pamiątki". Mamy też cały wysyp zawartości parareligijnej. Chrystus z piasku na idealnej plaży. Chrystus wynoszący z katastrofy samolotu cukierkowe, choć ubłocone stewardessy. A czasem już bardziej dla ciała niż ducha – zobaczymy same stewardessy maszerujące, stojące lub siedzące nienaturalnie gładkie dziewczyny w rozmaitych mundurach. Pod nimi szereg komentarzy na temat ich piękna, czasem propozycje znajomości lub małżeństwa. Czy piszą je naiwni, zdesperowani faceci, czy zaprogramowane na tworzenie pozorów ruchu boty? Możemy już tylko zgadywać. Chciałoby się wierzyć, że jako masa nie jesteśmy takimi frajerami, ale doświadczenie z czasów, gdy sieć była bardziej ludzka, skłania ku ostrożności w tym stwierdzeniu. Szczebel wyżej są generowane sztucznie modelki i influencerki, które zarabiają

eprasa.pl ec52629d92

już dla swoich twórców, reklamując produkty lub sprzedając „swoje” zdjęcia. I tak przechodzimy na kolejny poziom.

Nikt nas nie lubi

Na początku tego roku Facebooka zalała cała masa postów mających wywołać określoną reakcję użytkowników – i wywołujących ją. Smutna dziewczyna, samotna przy zastawionym stole, pisząca do nas, że dziś skończyła 30 lat, ale nikt nie złożył jej życzeń. Setki wpisów z życzeniami, pocieszeniem, współczuciem... Szczęśliwa rodzina, której jednak nikt nie lubi, bo jest ze wsi. Rolnik z imponującymi zbiorami lub pięknie wypieczonym chlebem rzekomo ignorowany z tego samego powodu. Wpisy pojawiały się często na profilach odwołujących się do religii lub tradycyjnego stylu życia – przyciągały uwagę i generowały ruch. Jeden z portali sprowadził rzecz do absurdu, przedstawiając fikcyjne zdjęcie dziewczyny, która upiekła chałkę w kształcie i rozmiarów konia „i nikt jej nie pogratulował”. Ale nawet na taki absurd łapało się wielu użytkowników. Czy cała akcja była próbą przed kolejną falą fałszywek? Od pewnego czasu Facebook zalany jest ogłoszeniami żerującymi na współczuciu i tworzeniu fikcyjnej okazji połączenia dobrego uczynku z niezłym interesem, setki nieistniejących sklepików, rodzinnych firemek z prostymi nazwami typu „Małgorzata Kraków”, o których nikt nigdy nie słyszał, ogłaszają koniec działalności i szybką, okazyjną wyprzedaż. Komentarze na takich stronach kasowane są od razu, ponieważ wiele osób orientuje się już, że mamy do czynienia z oszustwem. Jeśli ktoś zdecyduje się na zamówienie cudownej, oryginalnej biżuterii, pięknej lampki lub markowej, rzemieślniczej odzieży dostanie zapewne przesyłkę z chińską tandetą. Lub nie dostanie nic.

Banki go nienawidzą

Od kilku lat nasz internet zaczęły zalewać reklamy zachwalające możliwość wzbogacenia się dzięki kryptowalutom i dziwnym operacjom giełdowym. Nieistniejące osoby w typie sprzedawczyni z dyskontu czy aroganckiej dziewczyny z sąsiedztwa miały nagle wzbogacić się dzięki tajemniczemu sposobowi, który bogaci i banki chcą zataić przed biednymi. Kolejną odsłoną tej reklamowej choroby były materiały posługujące się wizerunkiem celebrytów czy popularnych polityków, jak choćby Szymona Hołowni czy Andrzeja Dudy. Hołownia próbował nawet walczyć z tym zjawiskiem w sądach, ale bezskutecznie. Reklamy wracają do dziś, ostatnio w jednej powołano się nawet na Karola Nawrockiego. Trudno powiedzieć, czy ktoś nabiera się na to oszustwo, jest jednak faktem, że przez kolejne lata ktoś wciąż tego tricku próbuje. Ostatnio jednak na naszym podwórku sprawa przybiera też inny, niepokojący wymiar. Jak zauważył publicysta Wojciech Mucha, YouTube pełny jest filmów przedstawiających fikcyjne sukcesy dyplomatyczne prezydenta Karola Nawrockiego. Filmy opowiadające o fikcyjnych zdarzeniach i nieistniejących wypowiedziach rozchodzą się w dziesiątkach, czasem setkach tysięcy odsłon. Po co? Dowiemy się w swoim czasie.

Martwy internet atakuje nas armią cyfrowych zombie, wpływając na nasze upodobania estetyczne, nawyki konsumenckie czy nawet wybory polityczne. Również zawodowe, coraz częściej przecież pisze za nas ChatGPT. Jego styl, łatwy do rozpoznania po krótkich, urywanych akapitach i tendencji do wyliczanek i kalk językowych, przenika nawet do oficjalnych oświadczeń i dokumentów. Coraz więcej stron opiera się wyłącznie na pisanych przez niego treściach. Ba, czasem widoczny jest już nie tylko w agitatorskich grafikach polityków (AI tworzyło np. mnóstwo filmów dodających dramatyzmu zeszłorocznym protestom rolniczym), lecz nawet szyldach normalnie funkcjonujących firm. To narzędzie ułatwia pracę, również moją, nie może jednak w pełni nas zastąpić i wciąż wymaga ludzkiej kontroli i wkładu naszej kreatywności. Czasem wydaje się, że ma jednak taką ambicję, a pomagają mu ludzka chciwość i lenistwo. Trudno przewidzieć wynik tej wojny, trudno nawet oszacować siły przeciwnika. Niektóre z jego oddziałów dowodzone są przez ludzi, inne zdają się działać już na własny rachunek.

FILMY OPOWIADAJĄCE O FIKCYJNYCH ZDARZENIACH I NIEISTNIEJĄCYCH WYPOWIEDZIACH ROZCHODZĄ SIĘ W DZIESIĄTKACH, CZASEM SETKACH TYSIĘCY ODSŁON. PO CO? DOWIEMY SIĘ W SWOIM CZASIE.

eprasa.pl ec52629d92

Downcycling – druga twarz recyklingu

System kaucyjny w jeszcze większym stopniu niż selektywna zbiórka odpadów ma promować ponowne wykorzystanie materiałów zużytych. Idea jest pozytywna, ale **czy faktycznie może wygrać** z masową produkcją i sprzedażą opakowań – zwłaszcza plastikowych?

Katarzyna Kasjanowicz

Na stronie Ministerstwa Klimatu i Środowiska czytamy: „System kaucyjny to mechanizm promujący recykling i ponowne wykorzystanie opakowań. W Polsce działa od października 2025 roku. Od 1 października w sklepach zaczną pojawiać się napoje w opakowaniach objętych systemem, a więc takie, na których znajduje się wyraźny znak kaucji z jej kwotą. W niektórych krajach szklana butelka wielokrotnego użytku wraca na rynek kilkanaście razy. To korzyść dla nas i środowiska”. Zauważmy jednak, że mowa jest tutaj o szklanej butelce, a nie o opakowaniu PET. To bardzo ważna informacja, dlatego mechanizm odzyskiwania tworzyw sztucznych omówię w dalszej części artykułu.

Butelka butelce nierówna

Do nowej formy walki z nadmiarem śmieci oraz o zachowanie oraz wykorzystanie istniejących dóbr jak zawsze dopłaci konsument. Kaucja za puszkę i butelkę PET wynosi 50 groszy, za szklaną – złotówkę. Zwrot pieniędzy otrzymamy jednak tylko, respektując ustalone zasady. Nie każde opakowanie zostało uwzględnione w tym programie i nie każdy sklep przystąpił do systemu. Najwięcej kontrowersji wzbudzają jednak wymogi związane z automatami kaucyjnymi. Przyjmą one jednorazowe butelki PET do 3 litrów, aluminiowe puszki do 1 litra i wielorazowe szklane butelki do 1,5 litra. Są jednak warunki, które bezwzględnie musimy spełnić. Opakowania mają być puste, oznaczone symbolem systemu kaucyjnego, nieuszkodzone i z czytelnym kodem kreskowym. Co to oznacza w praktyce? No właśnie... Czy butelka lub puszka minimalnie wgnieciona już w chwili zakupu jej z napojem jest pełnowartościowa, czy już nie? A kod kreskowy zarysowany mechanicznie albo nieco starty jeszcze na sklepowej półce? Te niuanse zweryfikuje życie. Dla wielu z nas, zwłaszcza tych mieszkających na małych po-

Fot. Adobe Stock

wierzchniach, kłopotliwym jest zachowywanie opakowań w ich oryginalnym kształcie. Już sama domowa segregacja jest uciążliwa. Czy przyzwyczaimy się i do tej nowej formy?

Prochu nie wymyślono

Dekady trzeba było czekać na powrót społecznego wynalazku, który w pełniejszej formie istniał w epoce PRL-u. Skupy odpadów stanowiły wtedy przykład gospodarki obiegu zamkniętego i metodę skutecznej walki z zaśmieceniem środowiska, choć o ekologii śniło się zapewne tylko wizjonerom. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX w. nawet 80% butelek, w których sprzedawano alkohol, pochodziła z odzysku. Warto wiedzieć, że skupy butelek istniały już w dwudziestoleciu międzywojennym. Ale w PRL-u skupowało się znacznie więcej, praktycznie wszystko to, co można było ponownie wykorzystać w przemyśle, czyli: metale, makulaturę, szmaty, a nawet słoiki bardzo istotnie w branży przetwórczo-spożywczej. Niejedna osoba trudniąca się takim procederem mogła dorobić sobie legalnie do emerytury czy kieszonkowego. Myszkowano więc po altanach śmietnikowych czy parkach – wszędzie tam, gdzie można było znaleźć odpady nadające się do sprzedaży. Skupy nie wymagały żadnego logo kaucyjnego ani paragonu zakupu.

Modne słowo: recykling

Ten termin od lat znamy praktycznie wszyscy. Recykling, czyli proces przetwarzania odpadów w celu ponownego wprowadzenia na rynek niektórych materiałów i ich użycia do nowych produktów, to jedna z najlepszych, autentycznych metod ochrony środowiska naturalnego. A także pojęcie nadające sens naszym codziennym zmaganiom z segregacją odpadów, budujące w konsumencie poczucie sprawczości i odpowiedzialności za dobro planety. Kupując zgrzewkę lub dwie napojów w plastikowych butelkach czy karton konserw, czujemy się znacznie lepiej, wiedząc, że zużyte opakowania włożymy do specjalnie oznaczonych pojemników po to, by surowce zostały odzyskane i mogły służyć ludzkości bez naruszania dóbr Ziemi oraz jej zaśmiecania. Lecz czy rzeczywiście możemy spać spokojnie?

Postawa obywatelska czy ideologia?

Rokrocznie na polski rynek trafia do 250 tysięcy ton plastikowych butelek (tzw. PET). Ale tylko połowa z nich zostaje odzyskana w procesie selektywnej zbiórki odpadów. Za zaistniałą sytuację w dużym stopniu odpowiadają nasze wygodnictwo i pośpiech. Łatwiej wyrzucić butelkę do kosza z odpadami zmieszanymi albo w ogóle zostawić ją na przystanku autobusowym czy podczas spaceru w gorący dzień – cisnąć do rowu. To świadczy o naszej kulturze osobistej, ale też o niedostatecznych narzędziach motywujących do zachowań zgodnych ze świadomością ekologiczną. Mimowolnie dodam, że dziś termin „zachowania ekologiczne" uległ częściowo mentalnej degradacji. To, co 20 lat temu było ożywczym nurtem na mapie codziennych działań jednostki i społeczeństwa – odpowiedzialną, dojrzałą aktywnością obywatelską – dziś często jest odbierane jako aspekt ideologiczny, podporządkowany określonym grupom interesu. Kwestie ekologiczne ubrane w bezdyskusyjne, czasem wewnętrznie sprzeczne przepisy prawne, nie budują jednoznacznego zaufania publicznego. Ostrożnie pytamy, czy tzw. „zrywka" – cienka torebka foliowa, w którą pakujemy bułki lub warzywa i za którą musimy zapłacić 25 groszy, jeśli

eprasa.pl 52629d92

użyjemy jej niezgodnie z przeznaczeniem, np. do zapakowania śmietany w pojemniku – staje się nieszkodliwa dla Ziemi po uiszczeniu tej symbolicznej kwoty? Żadna ekspedientka nie odpowie nam inaczej na to pytanie niż: „Takie są teraz przepisy. Takie dostałyśmy wytyczne". I nie dyskutujemy dalej mimo własnych wątpliwości. Ważne, by nie przesłoniły one mimo wszystko naszej troski wobec planety, ale też kierowały ją w stronę rozsądnych praktyk.

Downcycling

Na czym polega recykling plastikowych butelek? W procesie ich przetwórstwa powstają płatki lub granulki. Oba produkty poddawane są odrębnym, specjalistycznym procesom. Niestety, standardową butelkę PET można przetworzyć maksymalnie 2–3 razy, plastik najsłabszej jakości zaś – tylko raz. O downcyclingu mówimy wtedy, gdy przetwarzając dane tworzywo, otrzymujemy inne, ale o mniejszej wartości. To częste, choć mało znane oblicze recyklingu, a przecież jest naturalnym procesem, gdyż niewiele materiałów można przetwarzać w nieskończoność. Dla przykładu: nawet najwyższej jakości papier wrzucony do pojemnika na makulaturę i przetworzony kilkukrotnie ostatecznie może posłużyć do zrobienia z niego kartonu. Dzieje się tak, ponieważ włókna celulozowe ulegają skracaniu. Czy zatem recykling to faktyczny downcycling? W wielu przypadkach – tak. Praktycznie tylko szkło, stal i aluminium są odnawialne w 100%.

Ubrania z butelek

Do czego wykorzystywane jest tworzywo odzyskane z plastikowej butelki, gdy nie może już być... butelką? Do produkcji odzieży. Korzystają z tego najpopularniejsze firmy, których ubrania z dużym prawdopodobieństwem znajdziemy w naszych szafach. Odzież z poliestru, bo o niej mowa, nie jest ani zdrowa, ani ekologiczna. Jej negatywny wpływ na ludzki organizm przejawia się między innymi w powodowaniu problemów skórnych i zaburzeniu termoregulacji ciała. Takie ubrania nie grzeją w zimne dni ani nie pozwalają oddychać skórze w upały. Podczas ich produkcji i użytkowania uwalnia się do otoczenia mikroplastik, z którym przecież zupełnie słusznie walczą organizacje dbające o środowisko. Gdzie tu konsekwencja w działaniu? Dodajmy jeszcze aspekt etyczny. Wiele popularnych marek odzieżowych buduje swój korzystny wizerunek właśnie na recyklingu, błędnie informując, że ich produkty nadają się do ponownego przetworzenia. Niestety ubrania z poliestru są bardzo niskiej jakości, mają krótką żywotność i kończą na wysypisku, zamiast stać się faktyczną częścią obiegu zamkniętego. Ta słaba jakość jest pośrednio jedną z przyczyn odpowiedzialnych za znikanie z naszych ulic kontenerów PCK.

Mateusz Bolechowski z firmy Wtórpol od lat zajmującej się szeroko rozumianym odzyskiwaniem używanej odzieży powiedział niedawno na łamach Polskiej Agencji Prasowej, że wspólna działalność z PCK w ostatnim czasie stała się nieopłacalna.

– Nowe przepisy w sprawie segregacji tekstyliów wiązały się z drastycznym pogorszeniem jakości ubrań oddawanych do kontenerów na odzież używaną.

Rzeczywistość zweryfikuje przepisy

Przypomnijmy, że 1 stycznia 2025 roku nastąpiła kolejna zmiana przepisów w kwestii segregacji odpadów. Zgodnie z nowymi regulacjami odpady tekstylne nie mogą być już przez konsumentów wyrzucane do kontenerów z odpadami zmieszanymi, a obowiązek ich przyjmowania mają PSZOK-i. Na razie nowy system nie spotyka się ze społecznym entuzjazmem. Generuje kolejną grupę odpadów „specjalnej troski", wymaga organizacji miejsca w przestrzeni domowej, a także nakładów czasu i środków w celu wymaganej utylizacji. Nie każdy ma blisko swojego miejsca zamieszkania PSZOK i nie każdy posiada samochód, do którego zapakuje niepotrzebne tekstylia. A jak będzie z systemem kaucyjnym w Polsce? Z tej formy korzysta 180 mln Europejczyków, co stanowi ponad jedną czwartą część populacji naszego kontynentu. Trudno ocenić – jest to aż jedna czwarta czy tylko jedna czwarta? Czas i praktyka pokażą, jak nowa formuła odzyskiwania odpadów wpłynie na nasze środowisko. Czy wreszcie będzie mniej śmieci w lasach i na osiedlach, czy – jak w przypadku trwającej już tyle lat selektywnej zbiórki – nic się nie zmieni?

WIELE POPULARNYCH MAREK ODZIEŻOWYCH BUDUJE SWÓJ KORZYSTNY WIZERUNEK WŁAŚNIE NA RECYKLINGU, BŁĘDNIE INFORMUJĄC, ŻE ICH PRODUKTY NADAJĄ SIĘ DO PONOWNEGO PRZETWORZENIA.

eprasa.pl ec52629d92

XI edycja „Olimpiady Solidarności. Dwie dekady historii”

To już ostatni moment! Trwa nabór do XI edycji „Olimpiady Solidarności. Dwie dekady historii”. Do 15 listopada 2025 roku nauczyciele szkół ponadpodstawowych mogą zgłaszać swoje placówki do udziału w konkursie obejmującym wiedzę z zakresu historii Polski w latach 1970–1990.

Olimpiada składa się z trzech etapów: szkolnego, wojewódzkiego i finałowego.

Testy wiedzy zostaną przeprowadzone najpierw w szkołach średnich, a w kolejnej części konkursu w 16 miastach wojewódzkich. Z każdego województwa wyłonionych zostanie trzech laureatów, którzy w ostatnim etapie będą działać w zespołach. Finaliści wezmą udział w trzydniowej wizycie studyjnej w Gdańsku, gdzie wraz z przewodnikiem odwiedzą historyczne miejsca i wzmocnią swoje kompetencje poprzez udział w warsztatach dziennikarskich, kreatywności, autoprezentacji, wystąpień publicznych oraz tworzenia filmu.

W związku z ostatnim etapem finaliści będą musieli przygotować film, szukając śladów historii w swoich rodzinach, u znajomych czy w najbliższej okolicy. Uczniowie będą publicznie bronić swoich filmów i odpowiadać na wylosowane pytania problemowe w czerwcu podczas finału Olimpiady Solidarności w Lublinie.

Zwycięzcy Olimpiady mogą zdobyć indeksy na 6 renomowanych polskich uczelni wyższych, 9 stypendiów, bony na publikacje IPN i nagrody rzeczowe, które trafią również do wybranych szkół. Nagrody finansowe zostaną przyznane także nauczycielom, opiekunom dziewięciu laureatów.

Każdego roku w konkursie organizowanym przez Fundację Centrum Solidarności bierze udział ponad 3500 uczestników z około 600 szkół.

Celem konkursu, w tym wizyty studyjnej, jest budowanie nowoczesnego patriotyzmu wśród młodzieży poprzez podnoszenie poziomu wiedzy o historii najnowszej Polski, rozbudzenie zainteresowania młodzieży genezą i przebiegiem przemian demokratycznych w Polsce, doskonalenie umiejętności pozyskiwania informacji źródłowych, podawania ich analizie krytycznej, syntetyzowaniu i wykorzystywanie w praktyce.

Patronat honorowy nad Olimpiadą Solidarności objęło Ministerstwo Edukacji Narodowej. Patronem medialnym wydarzenia jest Fundacja Promocji Solidarności.

eprasa.pl ec52629d92

KULTURA

Czytaj też:

Rewolucja nie ma końca 68

W MUZYCE jestem kameleonem

– Jestem Gabi Blacha, która tworzy. Wszystko, co robię, jest związane z muzyką. Czy jako pedagog, kiedy uczę wokalu lub prowadzę warsztaty, czy kiedy nagrywam jako realizator, czy gdy piszę własne rzeczy, czy kiedy organizuję wydarzenia – to wszystko krąży wokół muzyki. I bardzo mnie to cieszy – mówi **Gabi Blacha**, wokalistka, skrzypaczka, realizatorka dźwięku, autorka piosenek, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

– Co ma Gabi Blacha, czego nie mają inne polskie wokalistki?

– Trudne pytanie na dzień dobry. Mam fantastycznych przyjaciół muzyków wokół siebie i uważam, że to jest bardzo duży dar.

– To jest dar? Jesteś wokalistką, powinnaś grać na siebie, a Ty mówisz o muzykach?

– Bo lubię robić muzykę, która jest prawdziwa. W dużej mierze ona też mówi o mnie. Jeżeli więc ktoś się wsłucha, to będzie rozumiał, z czego to wynika.

– Do kogo kierujesz swoją muzykę? Nie jest przecież w głównym nurcie.

– Mam taką naturę, że lubię iść pod prąd. Lubię robić swoje i o to w życiu chodzi. Mówisz, że może nie trafię do głównego nurtu, ale widzisz, taka też

eprasa.pl ec52629d92

Czym są „Okamgnienia”? Dla Gabi Blachy t**o chwile, które zatrzymują czas**. Punkty na mapie życia, które wybijają się z codzienności i zostają z nami na dłużej. To właśnie z tych poruszających momentów powstał jej najnowszy, wyjątkowy album.

idea mi przyświeca, że czasami nie chodzi o ilość, ale o jakość. Mogę tutaj jako przykład moich różnych działań podać chociażby festiwal, który organizuję od 13 lat.

– Możesz o nim powiedzieć coś więcej?
– To Wesoły Wędrownik – Festiwal Twórczości Norberta Blachy, czyli mojego taty.

– Czyli odziedziczyłaś talent po tacie?
– Tak. Tato jest moim korzeniem. Mama uczyła nas akurat tych tekstów piosenek dziecięcych, do których tato pisał muzykę, więc mam rodzinne korzenie muzyczne, nawet sięgając jeszcze dalszych pokoleń.

– Robisz sporo. W czym czujesz się najlepiej?
– Wszystkie funkcje łączy muzyka, bo tak się wykształciłam. W muzyce jestem kameleonem.

– Jakbyś się opisała ludziom, którzy dopiero czytając naszą rozmowę, dowiedzą się o Tobie?
– Jestem Gabi Blacha, która tworzy. Wszystko, co robię, jest związane z muzyką. Czy jako pedagog, kiedy uczę wokalu lub prowadzę warsztaty, czy kiedy nagrywam jako realizator, czy gdy piszę własne rzeczy, czy kiedy organizuję wydarzenia – to wszystko krąży wokół muzyki. I bardzo mnie to cieszy.

– Czym są okamgnienia?
– To takie chwile, które na przestrzeni ośmiu lat, kiedy powstawała płyta, zatrzymały mnie na tyle, że na ich podstawie powstawały utwory, którymi chciałam się podzielić ze słuchaczami.

– Do kogo kierujesz te chwile?
– Do każdego, kto szuka prawdy i szczerości, oraz do słuchaczy, którzy lubią muzykę na wysokim poziomie.

– Co dla Ciebie znaczy „wysoki poziom”?
– To, że słuchacz może na płycie usłyszeć fantastycznych muzyków.

– Ty musisz kochać swoich muzyków!
– [Śmiech]. Lubię ludzi i to jest dla mnie ważne. Bardzo cenię sobie przyjaźnie w życiu. Lubię tworzyć relacje, lubię poznawać ludzi. Wracając do płyty, myślę, że każdy może znaleźć w niej cząstkę siebie w zależności od tego, czego szukamy w muzyce.

– Akademia muzyczna pomaga czy jest obciążeniem?
– Mam wykształcenie muzyczne i to mnie cieszy. Nie uważam, że to przeszkadza. Myślę, że dzięki temu poszerzyłam horyzonty. Dowiedziałam się wielu rzeczy i wykorzystuję je nieustannie. Miałam to szczęście, że faktycznie wiedziałam od dziecka, że chcę grać na skrzypcach. Przyszłam sama do rodziców i powiedziałam, że chcę grać na tym instrumencie. Ostatnio nawet pytałam mamę, czy na pewno tak zrobiłam, a ona powiedziała, że tak, bo sama się zdziwiła. Nikt mnie do tego nie wpychał na siłę.

– Dlaczego gospel w Polsce jest tak mało popularny?
– Nie zgodzę się z Tobą.

– No to będziemy polemizować.
– W Polsce jest bardzo dużo warsztatów gospel, na które przyjeżdża bardzo wielu ludzi.

- Wiele znanych polskich wokalistek, stawiając pierwsze muzyczne kroki, śpiewało gospel.
– To jest ciekawe.

– Gospel to przede wszystkim mocne głosy. Dlaczego obecnie śpiewa się na pół gwizdka?
– Wszystko zależy od tego, jak czujesz muzykę. Na przykład zauważyłam, że wokalistki śpiewają coraz niżej.

– Kogo masz na myśli spośród wokalistek głównego nurtu?
– Na przykład Natalię Przybysz.

– Według mnie ona nie jest w głównym nurcie. Ktoś jeszcze?
– Z wokalistów: Kuba Badach czy Sławek Uniatowski. Muszę sprecyzować moją wypowiedź. Nie chodzi mi o to, że oni śpiewają wyłącznie nisko, ale mają bardzo szeroki zakres swoich możliwości i to jest super.

ZAUWAŻYŁAM, ŻE WOKALISTKI ŚPIEWAJĄ CORAZ NIŻEJ.

– Co się musi stać, żeby gospel trafił pod strzechy?
– Nie jestem wyrocznią, żeby odpowiadać na takie pytania. Muzyka przede wszystkim dotyka człowieka w różnych momentach życia. I na Twoje pytanie nie ma jednoznacznej odpowiedzi.

– Jakimi emocjami wypełniony jest Twój muzyczny pamiętnik?

eprasa.pl ec52629d92

– Spotykam się z opiniami, że jest tam dużo pozytywnych emocji. Wyniosłam z domu to, że z każdej najtrudniejszej sytuacji da się wyciągnąć coś dobrego.

– Nie obawiasz się, że Twoja płyta może być trudna dla statystycznego odbiorcy?

– Jest inna. Nie wszystko musi być takie samo. „Okamgnienia" mają bardzo pozytywny odbiór i wiele osób utożsamia się z moimi tekstami.

– Twój najnowszy album jest manifestem?

– Nie ujęłabym tego w taki sposób. To jest bardziej zwrócenie uwagi na prostotę i codzienne sytuacje, które mogą coś wnieść w życie słuchaczy.

– „Okamgnienia" mogą być formą muzykoterapii?

– Muzyka różnie działa na ludzi. Jednak mojej płyty nie wkładałabym do szufladki z napisem „muzykoterapia".

– Muzyka daje Ci odwagę?

– Mi odwagę dają ludzie i relacje z nimi.

– „Okamgnienia" są Twoją wewnętrzną pracą nad sobą?

– Gdy się tworzy, są różne natchnienia i inspiracje. Czasami to jest wynik rozmowy, spotkania, myśli, która krąży ci po głowie. Jeśli pytasz, czym są „Okamgnienia", to odpowiem, że są moimi obserwacjami i doświadczeniami, które przewinęły się na przestrzeni ośmiu lat, kiedy ta płyta powstawała. W trakcie pandemii powstał utwór „Kiedy zrozumiem". I buzia mi się cieszy, jak przypomnę sobie moment, kiedy poczułam natchnienie i zadzwoniłam do moich muzyków, że nagrywamy taki numer. Coś pięknego.

– Skąd jesteś?

– Z Gliwic na Śląsku.

– Byłabyś idealną ambasadorką Gliwic.

– Mieszkam w Gliwicach od urodzenia. Lubię to miasto. Mieszkają tam fajni ludzie. Czy byłabym dobrą ambasadorką? Może tak. Kto wie... Życie pokaże.

– Jesteś bardzo pozytywną osobą, a ja lubię funk, który słyszę u Ciebie na płycie. Dlaczego jest go tak mało w Polsce?

– Ja też lubię funk. I również mogę zapytać, dlaczego tak jest.

– Polscy muzycy mówią, że trudno się go gra.

– Dużo zależy od tekstu. W Polsce jest mało popularnych hitów z pozytywnym tekstem. To jest bardzo duże wyzwanie, żeby napisać piosenkę z wesołym tekstem i melodią, która będzie cię nosiła i pozwoli poczuć się swobodnie.

Gabi Blacha

Urodziła się 11 marca 1990 roku w Gliwicach. Muzyczną drogę rozpoczęła w wieku czterech lat u boku swojego taty Norberta Blachy, śpiewając wraz z siostrą i nagrywając płyty z piosenkami dziecięcymi i kolędami.

Rozwijająca się pasja śpiewania, wspólne koncertowanie, a później kształcenie w klasie skrzypiec prowadziło w kierunku muzyki i wiązania z nią swojej przyszłości. Podczas dwunastoletniej edukacji w Szkole Muzycznej I i II stopnia im. Ludomira Różyckiego w Gliwicach równolegle cały czas kierowała się w stronę swojej największej pasji – śpiewania, którą to nieustannie rozwijała, śpiewając w big-bandzie czy zespole Cantate Deo stworzonym z przyjaciółmi.

Zdobyła I nagrodę na Festiwalu „O Szarotkę Nowotarską", śpiewając utwór Andrzeja Zauchy „Bądź moim natchnieniem". W roku 2010 została przyjęta do klasy skrzypiec jazzowych Wydziału Jazzu i Muzyki Rozrywkowej Akademii Muzycznej w Katowicach. Równolegle kształciła swój wokal u Wojciecha Myrczka i Anny Mikoś.

Jako artystka komponuje muzykę i pisze teksty. Całość ubiera w barwne i bogate aranżacje, a w tym wszystkim towarzyszą jej doświadczeni muzycy: Martyna Sołtysik, Radek Pendziałek, Łukasz „Forest" Piechota i Michał Dziewiński. Jej historię zapoczątkował utwór „Jakubowy dar", a następnie „Mamo". Pierwszy z wymienionych szybko stał się numerem jeden „Listy z Mocą" Radia RDN Nowy Sącz, a także „Częstograjem" w Radiu Anioł Beskidów. W roku 2017 roku ukazał się autorski album artystki zatytułowany „Jakubowy dar". Premierowy koncert odbył się w Jazovii podczas Palm Jazz Festival. Płyta stała się „Płytą Tygodnia" Radia Niepokalanów oraz często gościła w specjalnej audycji Polskiego Radia Czwórka.

Kolejne single, które zapowiadały następny krążek artystki, to „Zakołysze", „Chwileczka", „Ilekroć", „1, 2, 3" czy „Kiedy zrozumiem".

Od trzynastu lat organizuje autorskie wydarzenie – Festiwal Twórczości Norberta Blachy Wesoły Wędrownik. To wydarzenie dedykowane jej tacie – warsztaty i koncert muzyki gospel. Wystąpiła u boku takich artystów jak Kuba Badach, Andrzej Lampert, Junior Robinson i wielu innych. Została laureatką Carpathia Festival w Rzeszowie w roku 2020 roku. Jako realizator nagrywa różnych artystów oraz własną muzykę w Studiu B1, którego jest właścicielem. Miejsce to od lat zapewnia dom dobrym projektom muzycznym, szczególnie spod znaku gospel, klasyki, jazzu i muzyki kameralnej, a co najważniejsze – kontynuuje dziedzictwo Norberta Blachy.

eprasa.pl ec52629d92

MIX PŁYT

Bartosz Boruciak

LORDOFON – NIESAMOWITA TRUPA PANA HIROSZIMY

WYD. SONY MUSIC POLAND

Śledzę poczynania chłopaków od ich pierwszej płyty i widzę, że potrafią wyczuwać trendy i sprawnie przenoszą je na swój grunt. Kiedy trzeba rapować, jest rap. Kiedy trzeba uderzyć mocniej i zaśpiewać melodię pod gitarę, to efekt jest zadowalający. To jest największy plus tego krążka, że różne estetyki muzyczne sprawnie łączą się w jedną całość. Warstwa tekstowa opisuje przemyślenia milenialsów na temat prozy życia i nieustannego dążenia do sukcesu. Jest refleksyjnie, jest wesoło. Koncept płyty jest bardzo ciekawy, ale więcej nie zdradzam. Polecam!

KOZYRSKA X SIECZAK – PROSTO W SERCE

WYD. KXS PRODUCTION

Typowa polska płyta. Połączenie Bovskiej, Kasi Lins i każdej melancholijnej wokalistki. Bezpieczne i znane. Płyta na pewno nie jest wyjściem ze strefy komfortu. Sprawdzone patenty, które polubią słuchacze Trójki, Radia 357 i Radia Nowy Świat. Na taką muzykę na pewno znajdzie się odbiorca i bardzo wyraźnie go widzę. Twórcy albumu prochu nie wymyślili, jednak nie jest to słaba produkcja. Osobiście doceniam i wolę starania, które wychodzą często niezdarnie, zamiast zachowawczych kompozycji, których jest bardzo dużo na polskim rynku muzycznym.

BIBOBIT – WDECH

WYD. PLAC KULTURY

Bardzo dużo funku, którego brakuje mi w Polsce. Melodie niosą teksty, które nie trącą pretensjonalnością. Aranżacje sprawiają, że głowa sama chodzi. Cieszę się, że Bibobit wypełnia niszę grania, które daje pozytywnego kopa. Tutaj nie ma czasu na nudę i gorzkie żale, które zalewają mnie ze wszystkich serwisów streamingowych. Chociaż na płycie znajdują się również utwory dla słuchaczy, którzy chcą oddechu i odpoczynku. Na pewno nie możemy narzekać na monotonię. Muzyka idealna na jesienną chandrę. Warto posłuchać.

JERZY KOCZUR – NIGDY SIĘ NIE BIŁEM

WYD. NIEBIESKI LABEL

Jeżeli jesteście fanami Dawida Podsiadły i Wiktora Dyduły w połączeniu z pierwszymi płytami Happysadu, to trafiliście pod dobry adres. Kazus wrażliwego podmiotu lirycznego, który nie radzi sobie z otaczającym go światem. Muzycznie? Lekko, łatwo i przyjemnie. Bez zbędnego ciężaru i patetycznych przekazów, które wywołują pusty rechot. Jerzy ma duży potencjał, jestem bardzo ciekaw jego rozwoju, bo jest z kogo i czego budować.

eprasa.pl ec52629d92

FILM

Rewolucja nie ma końca

Sebastian Pytel

Jeśli rzucimy w eter hasło największych żyjących pieszczochów światowej krytyki filmowej, dane Paula Thomasa Andersona wrócą do nas w pierwszym szeregu. Nie bez zasług. Anderson radzi sobie znakomicie zarówno jako twórca „małych wielkich filmów", takich jak „Lewy sercowy" czy „Ryzykant", jak i epickich fresków pokroju „Aż poleje się krew" czy „Mistrza". W dodatku facet sam pisze scenariusze i tak zgrabnie żeni gatunkowe konwencje, że nawet ekscentryczny dramat o krawcu-perfekcjoniście z nerwicą natręctw potrafi przekuć w poruszającą baśń o ponadczasowej miłości. Każdy jego film to dla tak zwanego „środowiska dziennikarskiego" prawdziwe święto.

Świeżutka „Jedna bitwa po drugiej" nominalnie podpada pod kategorię fresków, choć dużo w niej kina środka, którego Anderson dotychczas próbował po trochu, najwięcej chyba w osławionym „Boogie Nights" sprzed niemal trzech dekad. Tym większe zaskoczenie, że wybuchy, pościgi, strzelaniny i ucieczki nie tyle stanowią atrakcyjne tło dla luźnej adaptacji powieści Thomasa Pynchona „Vineland", co są nośnikiem treści. Anderson już wcześniej Pynchona ekranizował, jego „Wada ukryta" z 2014 roku była wierną adaptacją literackiego oryginału, esencją narkotycznej podróży po wielkiej beczce prochu, czyli Ameryce przełomu lat 60. i 70. Anderson zbliżył się do oryginału nawet zbyt blisko, powstał film dla wąskiej grupy zapaleńców, dość statyczny, z dialogami ciągnącymi się jak krówka, z grubsza o tym, że do amerykańskiej historii lepiej nie podchodzić na trzeźwo. Nauczony doświadczeniem, z „Vineland" wziął jedynie garść fragmentów, resztę dodał od siebie, a wydarzenia przeniósł we współczesność. Znacznie podkręcił również tempo opowiadania i postawił na kinetykę. W „Jednej bitwie..." wszystko jest w ciągłym ruchu: gonitwie myśli towarzyszą gonitwy całkiem dosłowne, spięcia, kraksy i upadki; kamera aż się trzęsie, żeby niczego nie pominąć, żeby nikt nie wypadł z kadru. Zresztą od biegu się zaczyna.

Obserwujemy akcję rewolucjonistów z fikcyjnej grupy French 75, odbicie nielegalnych imigrantów z rządowego obozu. Akcja przebiega sprawnie, grupą dowodzi charyzmatyczna Perfidia (Teyana Taylor), która ze swoich działań czerpie wyraźną, erotyczną przyjemność. Seksualna energia udziela się też, będącemu wówczas na służbie, pułkownikowi Stevenowi Lockjawowi (Sean Penn). Lockjaw w gruncie rzeczy jest rasistą, ale odczuwa niepohamowany pociąg do silnych, czarnoskórych kobiet. Namierza więc Perfidię i szantażem skłania ją do spędzenia z nim nocy. Dziewięć miesięcy później rodzi się Charlene (Chase Infiniti), a sama Perfidia nie wie, czy ojcem dziewczynki jest przedstawiciel aparatu władzy, czy jej partner z French 75, Pat (Leonardo DiCaprio). Jakby tego było mało, krótko po narodzinach Charlene, podczas skoku na bank, Perfidia robi coś niewybaczalnego, wskutek czego staje przed wyborem: długa odsiadka albo denuncjacja braci i sióstr „w wierze". Mniej więcej od tego momentu spada krzywa prawdopodobieństwa, a rośnie stopień odklejenia od rzeczywistości.

Mamy więc: sekretne stowarzyszenie białych mężczyzn, którzy pociągają za wszystkie sznurki, telefoniczne centrum obsługi rewolucjonistów, ucieczkę pozostawionego bez nadzoru świadka koronnego à la Jason Bourne, zawodowego sicario gotowego do oddania życia za nastolatkę, którą sam wcześniej dostarczył na planowane miejsce zbrodni, karatekę szmuglującego Latynosów, a także klasztor z uzbrojonymi po zęby pseudozakonnicami. Sporo atrakcji jak na polityczną satyrę, ale Anderson jest na tyle biegły w swoim fachu, że wszystkie te cuda razem wzięte ogląda się znakomicie. Szczególne wrażenie robi niezwykle pomysłowy, finałowy pościg rozegrany na przecinającej pustynię drodze. Twórca „Magnolii" po raz kolejny udowadnia także swój dryg do układania piętrowych konstrukcji na prostym, fabularnym kośćcu. Środkiem ciężkości dla tuzina rozgałęzionych wątków od początku do końca pozostaje relacja Pata z Charlene, czyli domniemanego ojca z domniemaną córką. Wokół nich, w toku akcji, zmieni się wiele (włącznie z ich własną tożsamością), ale wspólne oddanie pozostanie nienaruszone. To dobrze, bo praktycznie wszystkie postacie przedstawione na ekranie to okropni ludzie.

TWÓRCA „MAGNOLII" PO RAZ KOLEJNY UDOWADNIA SWÓJ DRYG DO UKŁADANIA PIĘTROWYCH KONSTRUKCJI NA PROSTYM, FABULARNYM KOŚĆCU.

„Jedna bitwa po drugiej" weszła na amerykańskie ekrany dzień po snaj-

eprasa.pl ec52629d92

Fot. kadr z filmu

perskim ataku na federalne biuro Urzędu Celno-Imigracyjnego (ICE) w Dallas (dwie ofiary śmiertelne). Pomniejsze starcia ze służbami imigracyjnymi, inicjowane głównie przez lewicowe organizacje, odbywają się niemal codziennie. Protesty rzadko przybierają pokojowy charakter. Przedstawiona przez Andersona bojówka French 75 ma wyraźnie terrorystyczny sznyt, ale reżyser spogląda na nią nader łaskawym wzrokiem. Jasne, niektóre efekty ich działalności zostają poddane krytyce, ale tak miękko, bez zaciągania, bo co do zasady istnienie „zbrojnego ramienia rewolucji" w optyce reżysera wygląda na zdrowy mechanizm wolnego społeczeństwa. Tym bardziej że reprezentowana przez Lockjawa strona rządowa (w domyśle: prawicowa, republikańska) to bezrozumna, brutalna i autorytarna siła; przy tym karykatura od A do Z, jak sam Lockjaw, który śmieszną zaczeskę układa na ślinę i nie kontroluje własnych popędów. Dysproporcję między jakością wykonania a politycznym przesłaniem „Jednej bitwy..." zauważył znany amerykański pisarz Bret Easton Ellis, mówiąc że film – choć świetny technicznie – „odnosi się jedynie do lewicowej wrażliwości i zupełnie nie rozumie przemian zachodzących w Stanach Zjednoczonych".

FILM – CHOĆ ŚWIETNY TECHNICZNIE – „ODNOSI SIĘ JEDYNIE DO LEWICOWEJ WRAŻLIWOŚCI".

Leniwe oko, którym Anderson patrzy na społeczne podziały za oceanem, najlepiej oddaje sam główny bohater jego dzieła. Pat (a po prologu Bob) po okresie rewolucyjnej aktywności osiada na peryferiach, gdzie zajmuje się głównie piciem, paleniem skrętów i oglądaniem telewizji. Buntowniczy zapał utrzymuje podczas spotkań z innymi życiowymi rozbitkami i seansów „Bitwy o Algier" (z której notabene nie za wiele rozumie, bo klasyk Gillo Pontecorvo pokazywał również grzechy algierskich powstańców). Z kapci (ale nie z wymiętego szlafroka) wyrywa go dopiero realne zagrożenie zdrowia i życia jego córki. Jednak gdy tylko cała zawierucha szczęśliwie się kończy, Pat/Bob wraca na kanapę i biernie obserwuje, jak ta sama córka, która przed momentem uciekła spod topora, powiela schemat rodziców i rusza do walki. Leonardo DiCaprio na tym etapie kariery i umiejętności aktorskich nawet z takiej roli robi klejnot, ale i on nie jest w stanie przykryć rozmiarów bezrefleksyjności swojej postaci ani braku jej jakiekolwiek przemiany. Co ciekawe, gdzieś z boku, na drugim, trzecim planie przewija się niejaka Deandra (znakomita, chyba najlepsza z całej obsady Regina Hall), zaangażowana w „sprawę" od samego początku. W niej, jako jedynej, rozgrywa się dramat sumienia: wie, ile bólu i krzywdy niesie ścieżka, którą podąża, ale z jakichś przyczyn nie potrafi z niej zawrócić. Trwa więc, ale jakby wciąż szukała dobrego powodu, że warto.

„Jedna bitwa pod drugiej" pewnie zgarnie w przyszłym roku kilka Oscarów, może i sam Anderson po jedenastu nominacjach w końcu odbierze złotą statuetkę. Wtedy byłby już nie tylko pieszczochem krytyków, lecz całego Hollywood, a jego film zostałby wzięty na sztandary jako promyk nadziei na zatrzymanie i odwrócenie kursu konserwatywnej (nomen omen) rewolucji. Nie byłby to też pierwszy raz, gdy ważna nagroda prowadzi wprost do artystycznej śmierci.

„Jedna bitwa po drugiej" (One Battle After Another), reżyseria: Paul Thomas Anderson, scenariusz: Paul Thomas Anderson, obsada: Leonardo DiCaprio, Sean Penn, Chase Infiniti, Benicio del Toro, Regina Hall, Teyana Taylor, gatunek: dramat, thriller, komedia, satyra, produkcja: USA 2025, czas: 161 minut.

eprasa.pl ec52629d92

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

SOLIDARNOŚĆ wyszła na ulice Warszawy

W minionym tygodniu związkowcy z NSZZ „Solidarność” przeprowadzili trzy akcje strajkowe. Do Warszawy zjechali nauczyciele, energetycy i kolejarze. Demonstrujących wspierali: przewodniczący Komisji Krajowej Piotr Duda i jego zastępcy: Maciej Kłosiński oraz Bartłomiej Mickiewicz.

14 października, w Dzień Edukacji Narodowej, przed Kancelarią Premiera zebrali się pracownicy oświaty na czele z przewodniczącym Krajowej Sekcji Oświaty i Wychowania NSZZ „S” Waldemarem Jakubowskim. Związkowcy ubrani na czarno nie wznosili okrzyków, stali w ciszy, która miała symbolizować brak dialogu pomiędzy rządem a środowiskiem nauczycieli.

– Dzisiaj jest szczególny dzień. To Dzień Edukacji Narodowej. Jesteśmy ubrani na czarno, ponieważ uważamy, że nie mamy powodu do świętowania. Mamy powód raczej do smutku, do buntu, do niezadowolenia – powiedział nam przewodniczący Jakubowski.

– Nie może być tak, że w ustawie budżetowej jest co roku taniec wokół kwoty bazowej. Trzeba ustalić konkretną kwotę na zadania edukacyjne – zaznaczył szef oświatowej „S”, która od lat domaga się również powiązania pensji nauczycieli ze średnią krajową. Swoje postulaty nauczyciele przekazali na biurko premiera.

Tego samego dnia, ale w zupełnie odmiennej atmosferze, na uli-

Fot. M. Żegliński

eprasa.pl ec52629d92

Fot. M. Żegliński

„Lepiej wyjść z kryjówki i powiedzieć wprost: chcę rozmawiać. Szkoda, Panie Ministrze – zwracam się tutaj do ministra Wojciecha Balczuna – że Pan z tej kryjówki nie wyszedł”.

Piotr Duda, szef „S”, posiedzenie RDS, Tysol.pl, 15 października br.

cach stolicy odbywał się protest energetyków. Pracownicy Enei zebrali się przed Ministerstwem Aktywów Państwowych, by przekazać ministrowi Wojciechowi Balczunowi petycję, w której domagali się przede wszystkim natychmiastowego wycofania wypowiedzenia ZUZP w Enea S.A., cofnięcia decyzji o odstąpieniu od stosowania PUZP w spółkach Grupy i przywrócenia przedstawicieli pracowników do organów spółek GK Enea.

– Układ Zbiorowy Pracy to najwyższa forma dialogu społecznego. Jeżeli zaorają Eneę, to wezmą się za kolejne firmy, za polskie górnictwo i całą energetykę. Dlatego bądźmy razem. Dziękuję, że jesteście, że walczycie. Jesteście bohaterami. Potrzeba nam solidarności wszystkich związków zawodowych i wszystkich pracowników w naszym kraju. Jeżeli Donald Tusk chce wojny, to my jesteśmy na taką konfrontację gotowi – przekonywał ze sceny przewodniczący „S” Piotr Duda.

Protestujący oprócz flag przynieśli ze sobą transparenty z hasłami: „Łapy precz od ZUZP”, „Pracownik to siła”, „ZUZP = Stabilność” czy „Zarząd do dialogu”.

Związkowcy nie dali politykom wytchnienia również 15 października. Tym razem pod Ministerstwem Infrastruktury zjawili się pracownicy PKP Polskich Linii Kolejowych, którzy nie zgadzają się na połączenie sześciu mniejszych jednostek terenowych: IZ Siedlce, IZ Skarżysko-Kamienna, IZ Częstochowa, IZ Nowy Sącz, IZ Ostrów Wielkopolski, IZ Wałbrzych, z większymi zakładami linii kolejowych.

Zarząd mówi o „integracji”, a związkowcy z Solidarności o „likwidacji” jednostek terenowych. Pracownicy boją się utraty miejsc pracy i pogorszenia jej warunków na niektórych stanowiskach.

– Łączenie zakładów to faktyczna likwidacja 6 pracodawców działających dotychczas jako odrębne jednostki organizacyjne PLK. To bałagan w obsadach, regulaminach (pracy, premiowania, ZFŚS), inwestycjach, to „zwijanie” PLK pod hasłem nowoczesności – alarmowali członkowie Sekcji Zawodowej Infrastruktury Kolejowej NSZZ „S”.

Reorganizacja zakładów linii kolejowych ma nastąpić od stycznia przyszłego roku. Resort Infrastruktury zapewnia, że zwolnień kolejarzy nie będzie.

MEMORIAŁ PAMIĘCI KS. JERZEGO

W związku z 41. rocznicą męczeńskiej śmierci bł. ks. Jerzego Popiełuszki związkowcy z Regionu Elbląskiego NSZZ „Solidarność” upamiętnili swojego Patrona na tegorocznym Memoriale Pamięci bł. ks. Jerzego Popiełuszki w Kwidzynie.

W sobotę, 11 października, starsi przebiegli lub przemaszerowali trasę 5 kilometrów. Dzieci zaś pokonały symboliczny dystans.

Każdy uczestnik Memoriału otrzymał z rąk przewodniczącego elbląskiej Solidarności Zbigniewa Kobana pamiątkowy medal z wizerunkiem ks. Jerzego. Na najlepszych zawodników czekały natomiast puchary, a dla 45-latków z najlepszymi czasami przygotowano specjalne nagrody z okazji 45. rocznicy powstania NSZZ „Solidarność”.

Ks. Jerzy został zamordowany przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa 19 października 1984 roku. Wracał wtedy z kościoła pw. Świętych Polskich Braci Męczenników w Bydgoszczy, gdzie odprawił Eucharystię dla ludzi pracy. Został uprowadzony w pobliżu miejscowości Górsk.

Pogrzeb kapłana zgromadził tłumy ludzi. Jego ciało spoczęło na terenie kościoła parafialnego św. Stanisława Kostki w Warszawie. W 2014 roku bł. ks. Jerzy Popiełuszko został ogłoszony patronem NSZZ „Solidarność”.

M.K.

Kalendarium

Solidarności

23.10.1984 – zostają aresztowani Adam Hodysz i Piotr Siedliński, oficerowie SB współpracujący z podziemną „S”. Skazano ich odpowiednio na 6 i 4 lata więzienia. Hodysz wychodzi na wolność 30.12.1988 r.;

24.10.1980 – Sąd Wojewódzki w Warszawie wprowadza zmiany w statucie NSZZ „Solidarność”. Związkowcy ogłaszają pogotowie strajkowe, wkrótce składają odwołanie do Sądu Najwyższego;

25.10.1987 – TKK „S” oraz Tymczasowa Rada „S” jednoczą się i powołują Krajową Komisję Wykonawczą NSZZ „S”.

eprasa.pl ec52629d92

PRAWO

CIĄGŁE SZCZEKANIE PSA – co zrobić, kiedy sąsiad nie współpracuje?

Od kilku dni pies sąsiada w naszym bloku nieustannie szczeka. **Od rana do wieczora** słychać głośne ujadanie, które uniemożliwia mi pracę zdalną i odpoczynek. Próby rozmowy z sąsiadem nie przyniosły efektu, a sytuacja staje się coraz bardziej uciążliwa. Inni sąsiedzi też zaczęli się skarżyć, ale to również nie przyniosło efektu. Czy możemy coś zrobić prawnie, aby wymusić zakończenie tego hałasu?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

Uciążliwe zachowanie psa, w tym ciągłe szczekanie, może zostać zakwalifikowane jako naruszenie spokoju i porządku domowego. W polskim prawie odpowiednie regulacje znajdują się w Kodeksie cywilnym, ustawie o ochronie praw lokatorów oraz w Kodeksie wykroczeń. Zgodnie z art. 144 Kodeksu wykroczeń, kto w miejscu publicznym lub w obrębie budynku mieszkalnego hałasuje w sposób zakłócający spokój innych osób, może podlegać karze grzywny lub naganie. Ciągłe szczekanie psa, które przeszkadza sąsiadom w normalnym funkcjonowaniu, można uznać za takie zakłócenie spokoju. Pierwszym krokiem powinno być podejście polubowne. Warto ponownie spróbować rozmowy z właścicielem psa, wyjaśniając sytuację i prosząc o podjęcie działań ograniczających hałas. Często problem wynika z braku świadomości właściciela lub z chwilowej nieuwagi, pies może szczekać z nudy lub nieprawidłowej opieki. Jeżeli rozmowa nie przynosi efektu, kolejnym krokiem jest zgłoszenie sprawy do zarządu wspólnoty mieszkaniowej lub spółdzielni. Zarząd ma obowiązek dbać o porządek w budynku i może podjąć działania mediacyjne wobec właściciela psa. Często wysyłane pismo informacyjne lub wezwanie do ograniczenia hałasu przynosi szybki efekt. W przypadku dalszego braku reakcji można skierować sprawę do organów porządkowych, np. Straży Miejskiej lub Policji, które mogą sporządzić protokół naruszenia porządku. W ostateczności sprawa może zostać rozpatrzona w sądzie cywilnym, gdzie można żądać nakazania ograniczenia uciążliwości lub odszkodowania za utratę spokoju. W takich postępowaniach przydatne są dowody, m.in. nagrania dźwiękowe dokumentujące czas trwania ujadania oraz notatki z prób kontaktu z właścicielem psa. Warto też pamiętać, że każdy przypadek oceniany jest indywidualnie. Sąd bierze pod uwagę częstotliwość i natężenie hałasu, czas trwania oraz starania właściciela zwierzęcia, aby ograniczyć uciążliwość. Nie każde szczekanie psa jest kwalifikowane jako naruszenie prawa, istotne jest, aby było systematyczne i znacznie utrudniało życie sąsiadom.

Podsumowując, gdy pies sąsiada nieustannie szczeka w bloku, najlepsza droga działania jest stopniowa. W pierwszej kolejności jest to rozmowa polubowna, następnie interwencja zarządu wspólnoty, a w ostateczności zgłoszenie problemu do odpowiednich organów i ewentualne kroki prawne w sądzie. Zbieranie dowodów i dokumentowanie uciążliwości jest kluczowe, aby skutecznie chronić swój spokój i interesy. Świadome i spokojne podejście do problemu, wraz z wykorzystaniem dostępnych środków prawnych, pozwala na odzyskanie komfortu w mieszkaniu, jednocześnie minimalizując ryzyko konfliktów sąsiedzkich.

eprasa.pl ec52629d92

SKUTKI NARUSZENIA PRZEPISÓW o zwolnieniach grupowych

Ogólne zasady rozwiązywania stosunków pracy reguluje Kodeks pracy. To w tym akcie zostały unormowane takie kwestie jak sposoby rozwiązania umowy o pracę, wymogi, które musi spełnić pracodawca chcący zwolnić pracownika (zarówno za wypowiedzeniem, jak i bez wypowiedzenia), okresy wypowiedzenia czy roszczenia przysługujące pracownikom, jeśli zwolnienie odbyło się z naruszeniem przepisów. Należy jednak mieć na uwadze, że zasady te ulegają określonym modyfikacjom przewidzianym w ustawie o szczególnych zasadach rozwiązywania z pracownikami stosunków pracy z przyczyn niedotyczących pracowników (dalej: ustawa o zwolnieniach grupowych).

Dr hab. **Jakub Szmit**, specjalista z zakresu prawa pracy

Ustawa o zwolnieniach grupowych ma zastosowanie do pracodawców zatrudniających co najmniej 20 pracowników, więc jej zakres stosowania jest węższy niż Kodeksu pracy, jednakże nadal akt ten obejmuje znaczną część pracowników, a tym samym jej regulacje mają bardzo doniosłe znaczenie praktyczne. Należy też podkreślić, że dotyczy ona sytuacji, w których rozwiązanie umowy o pracę następuje z inicjatywy pracodawcy w drodze wypowiedzenia z przyczyn niedotyczących pracowników (nie stosuje się jej zatem np. w razie rozwiązania stosunku pracy bez wypowiedzenia lub wskutek upływu czasu, na jaki została zawarta umowa).

Ustawa przewiduje szereg odmienności względem przepisów Kodeksu pracy. Najważniejsze z nich dotyczą: 1) procedury zwolnień, w tym udziału przedstawicieli strony pracowniczej w ustaleniach dotyczących m.in. zasad zwolnień, kryteriów doboru do zwolnień czy też ewentualnych dodatkowych działań osłonowych dla zwalnianych pracowników, 2) obowiązków informacyjnych pracodawcy wobec powiatowego urzędu pracy, 3) momentu, w którym można wręczać wypowiedzenia, 4) prawa do odprawy dla zwalnianych pracowników, 5) prawa do powrotu do pracy po ziszczeniu się określonych warunków czy też 6) modyfikacji zasad szczególnej ochrony trwałości stosunku pracy. Każdy z tych elementów stanowi o specyfice zwolnień grupowych, aczkolwiek nadal obligatoryjne jest dochowanie niektórych wymogów zawartych w Kodeksie pracy. Wypowiedzenie musi zatem być dokonane na piśmie, z podaniem przyczyny uzasadniającej oraz zawierać pouczenie o prawie wniesienia odwołania do sądu pracy. Z kolei w kwestii konsultacji zamiaru zwolnienia z reprezentującą pracownika zakładową organizacją związkową decydujący jest przebieg negocjacji pracodawcy ze stroną związkową w toku procedury zwolnień (jeśli strona związkowa podpisze porozumienie w tej kwestii, wówczas pracodawca nie ma już obowiązku dokonywania indywidualnych konsultacji).

W stosunku do każdych praw i obowiązków konieczne jest określenie skutków ich naruszeń, co w przypadku zwolnień grupowych oznacza niedochowanie przez pracodawcę wskazanych powyżej zobowiązań wynikających zarówno z ustawy, jak i z Kodeksu pracy. W takiej sytuacji, zgodnie z art. 12 ustawy stosuje się przepisy Kodeksu pracy dotyczące roszczeń pracowników w razie wadliwego rozwiązania umowy o pracę. Wyrazem tego jest wyrok Sądu Najwyższego z dnia 1 kwietnia 2025 r., II PSKP 50/23, w którym zostało wskazane, że „Postanowienia art. 6 ust. 1 ustawy z 2003 r. o szczególnych zasadach rozwiązywania z pracownikami stosunków pracy z przyczyn niedotyczących pracowników mają charakter semiimperatywny, co oznacza to, że zignorowanie przewidzianych w nim terminów i dokonanie wcześniejszego wypowiedzenia narusza przepisy o wypowiadaniu umów o pracę w rozumieniu art. 45 k.p.”.

PYTANIA DO EKSPERTÓW

Pytania do naszych ekspertów prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**”) lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność”, ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl ec52629d92

RYSUNEK NA KONIEC KRYSZTOPA

Nasi autorzy

Katarzyna Kasjanowicz (Downcycling..., s. 60),
absolwentka kulturoznawstwa na UW, członkini Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, od 20 lat związana z prasą.

Barbara Michałowska („Likwidacja..., s. 6),
dziennikarka „Tygodnika Solidarność". Specjalizuje się w sprawach związkowych. Z nami od 2009 roku.

Ludwik Pęzioł (Minister..., s. 33),
autor podcastu i kanału „Radykalny Pasywista". Na kanale YouTube „Tygodnika Solidarność" prowadzi program „Pokój socjalny" (razem z Krzysztofem Karnkowskim). W Tysolu od roku 2024.

Paweł Pietkun (Nowa..., s. 44),
dyrektor regionalny w Amerykańskim Instytucie Dyplomacji i Praw Człowieka (U.S. Institute of Diplomacy and Human Rights).

Patryk Stanik (Czy Mike..., s. 52),
specjalista od marketingu internetowego, nowych mediów oraz tematyki religijnej, przez lata związany z „Tygodnikiem Powszechnym", od 2025 r. pisze dla nas.

PRENUMERATA NA 2025 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) bezpośrednio w redakcji „TS":
ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa, tel. 22 882 27 80,
e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com,
numer konta: mBank 44 1140 1065 0000 7461 0100 1001.
Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **Tysol.pl** (w zakładce „Prenumerata").

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 108,00 zł (12 wydań)
- II kwartał – 117,00 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 225,00 zł (od nr. 1 do 25)**
- III kwartał – 126,00 zł (14 wydań)
- IV kwartał – 108,00 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 234,00 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 459,00 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na:
www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl ec52629d92

REPUBLIKA

„Rozmawiam o polityce. Z moimi gośćmi komentuję najważniejsze wydarzenia z kraju i z zagranicy. Zadaję konkretne pytania i oczekuję rzeczowych odpowiedzi. Zapraszam do Republiki od wtorku do czwartku o godzinie 17:35, a w piątki o 18:20" – Miłosz Kłeczek

MIŁOSZ KŁECZEK ZAPRASZA

OD WTORKU
DO CZWARTKU
17:35

W PIĄTEK
18:20

w Republice

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

NAJNOWSZY

raport NSZZ „Solidarność”

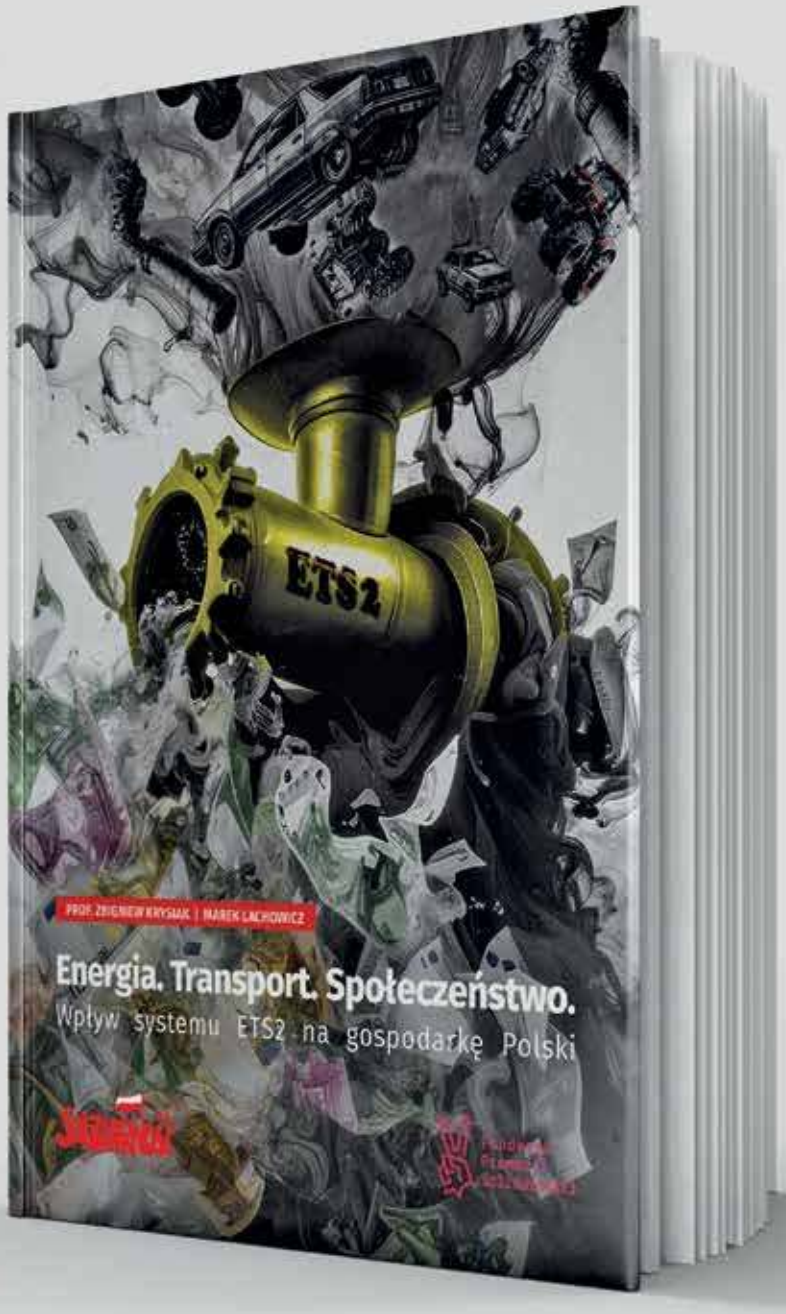

Do kupienia na:

solidarnosc.sklep.pl

eprasa.pl ec52629d92